

DEKALOG WALKI Z FAKE NEWSSEM

JAK SIĘ CHRONIĆ
PRZED DEZINFORMACJĄ



„Kultura

23 lutego 2013 | Kultura | MP

...to najmocniejsze spoiwo”

30 maja 2016 | Kultura | PN

...niech zdycha”

6 kwietnia 2010 | Kultura | JC

...nasza najdroższa”

24 lipca 2014 | Kultura | FM

...to też polityka”

4 listopada 2011 | Kultura

...zależy od sponsorów

4 czerwca 2010 | Kultura | MR

i... kultura”

Sponsorów

Polacy płać coraz więcej za udział w wydarzeniach artystycznych niż pensje. Tymczasem organizatorzy życia kulturalnego – zaciera ją, bo kolejni przed kasami nie maleją. Największym powodzeniem cieszą się bilety, na jakie, wyłobyło się, nas nie stać. Warszawa Spółkonia Teatralne otworzy „Tramwaj” Krzysztofa Warlikowskiego z Isabelle Huppert i Andrzejem Chyrą. Kiedy ogłoszono cenę biletów

– 280 zł – mało kto wierzył, że znajdą się chętni. Tymczasem rozszedły się w kilka kilku dni, a stanowią trzecią część puli na trzy wieczory w warszawskim Teatrze Polskim. Cena współtworzy ekskluzywność marki. Jeśli coś jest tanie – dla wielu nie ma wartości – Wcale mnie to nie dziwi – mówi Maciej Nowak, dyrektor Warszawskiego Spółki Teatralnych, szef Instytutu Teatralnego. – Osiągnięliśmy założony cel. Nie wierzyli ci, którzy przepelznali zmiany na rynku. Przecież Filharmonia Narodowa jest wypelniona do ostatniego miejsca, nawet wtedy gdy bilety są po 400-500 zł.

Wieloznaczenie teatru na oczach publiczności. Wtedy jego cena, płacono 80 zł, przed pięćdziesięciu wiekami do nikich biorących jeszcze więcej. Takich przykładów jest więcej: choćby ciesząc się ogromnym powodzeniem, a wcale nie tani, występ Antony i The Johnsons w Teatrze Wielkim. Czas wyciągnąć wnioski. Poza dużym popytem na wydarzenia artystyczne najwyższej rangi argumentem przemawiającym za podrośnięciem cen biletów są koszty produkcji widowisk – w Polsce takie same jak na całym świecie. Zarówno za granicą, jak i u nas duże kwoty mogą włożyć na bilety przedstawicieli nowego zawodowego mieszczaństwa – biznesmeni, pracownicy agencji reklamowych. Dla nich pojawianie się na prestiżowych imprezach i zasiadanie na dobrych miejscach jest elementem budowania wizerunku.

– „Tramwaj” na pewno przyciąga sławę Isabelle Huppert, Andrzeja Chyry i Krzysztofa Warlikowskiego – mówi Karolina Ochab, dyrektorka Nowego

Teatru, współproducentka. - Ale nie bez znaczenia jest, że mamy do czynienia z wydarzeniem festiwalowym. Teatry na nie zawsze są droższe, bo to rodzaj artystycznego święta. W Paryżu były tańsze, ponieważ spektakl został tam zagraný 52 razy. Droższe bilety cieszą się największym powodzeniem również dlatego, że kupujący podkreślają w ten sposób swój wyjątkowy status społeczny, i sam spektakl zyskuje prestiż. Tak już jest, że jeśli coś jest tanie - dla wielu nie ma wartości. Cena wspólna z ekskluzywnością marki. Zarówno Karolina Ochab, jak i Maciej Nowak uważają, że droga może być tylko część biletów.

- Nasze warszawskie premiere teatromani zawsze obejrzą za kilkadziesiąt złotych - dodaje dyrektorka Nowego Teatru.

- Najdroższe bilety pozwała ją zbilansować koszt spowodzenia przedstawienia, na które nie mamy dużej dotacji - mówi Maciej Nowak. Współfinansują je też wejściówki po 50 zł.

- Jesteśmy po sprzedaniu pierwszej łoży - oznajmia Waldemar Gąbrowski, dyrektor

DEKALOG WALKI

Z FAKE NEWSEM

JAK SIĘ CHRONIĆ
PRZED DEZINFORMACJĄ

*Magdalena Pernet
Michał Szuldrzyński*

Wielkie wyzwanie dla sfery medialnej

BOGUSŁAW CHRABOTA

Redaktor naczelny „Rzeczpospolitej”

Czym jest fake news? Rzecz jasna można zredukować problem z nim do kwestii nieprawdy. W sensie poznawczym właśnie tak jest. Tyle że kłamstwo, oszustwo, niesprawdzona plotka, nieprawda to kategorie z poprzedniej epoki, kiedy fałszywa informacja miała mniejszy zasięg i była łatwiejsza do sprawdzenia. Owszem, wielkie kłamstwa, jak choćby to o polskiej prowokacji w Gliwicach

w 1939 roku, mogły być pretekstem do uruchomienia maszyny wojennej albo inne, o odpowiedzialności Niemców za Katyń, mogło stać się kamieniem węgielnym braterskich relacji PRL ze Związkiem Sowieckim. Niemniej oba – w tym przypadku antypolskie – oszczerstwa opierały się na oficjalnych stanowiskach wrogich nam krajów i stąd brała się ich siła.

Z fake newsem jest nieco inaczej. Rodzi się on i wychodzi ze świata chaosu komunikacyjnego, a żyje dzięki statystykom. Tak wpływa na politykę. Stąd jego siła i moc. Eksperci policzyli, że tylko w czasie pięciu miesięcy przed finałem amerykańskiej kampanii prezydenckiej w 2016 roku spośród wszystkich 171 milionów tweetów wysłanych przez 11 milionów użytkowników, 30 milionów odwoływało się do stron informacyjnych. Aż jedna czwarta z tych referencji była odesłaniem do stron zawierających fake newsy (10 procent) i znanych ze



MACIEJ ZIEMIŃSKI

stronniczości (15 procent). To tylko analiza Twittera, ale gdyby dodać wszystkie komunikatory czy dyskusje na stronach uznawanych za oszczercze, liczba informacji skażonych nieprawdą poszłaby w miliardy.

To właśnie skala jest prawdziwą naturą nieprawdy epoki cyfrowej, a nie kwestia prawdziwości informacji sama z siebie. Fake news staje się narzędziem typowym nie tylko w kampaniach, lecz również w wojnach hybrydowych,

którego użycie poprzedza zastosowanie tradycyjnych środków polityki z agresją – handlową czy militarną – na czele. Od pewnego czasu staje się również narzędziem kształtującym relacje międzynarodowe, marketing korporacyjny lub branżowy. Przeraża nie tylko łatwość jego użycia, ale również relatywizm oceny. Fałszowanie rzeczywistości traci wagę etyczną, staje się akceptowalną metodą oddziaływania na otoczenie.

Czy tak musi być? Uważam, że nie może. Relatywizacja świata wartości, ucieczka od prawdy w stronę identyfikacji „tożsamościowej” będzie zgubna dla polityki, kultury i szerzej – cywilizacji. Utoniemy w kłamstwie, jeśli nie będziemy umieli uszanować prawdy. Stąd akcja „Rzeczpospolitej” pod hasłem „Stop fake newsom”. Napisaaliśmy dekalog walki z fake newsem. Poprosiliśmy o jego skomentowanie wybitne autorytety. Macie Państwo w rękach efekt naszej pracy.

DEKALOG WALKI Z FAKE NEWSEM

-
- 1. News odnosi się do faktów, nie do opinii.**
Opinie to zwykle interpretacje faktów
 - 2. Nie wystarczy mieć poglądy.**
Do oceny sytuacji trzeba również włączyć myślenie
 - 3. Opieraj się nie na jednym,**
a na możliwie wielu źródłach
 - 4. Notka na platformie społecznościowej**
to nie zawsze jest wiarygodne źródło
 - 5. Jeśli nie identyfikujesz źródła, nie powtarzaj newsa**
 - 6. Jeśli news wydaje ci się nieprawdopodobny,**
to pewnie tak jest
 - 7. Jeśli masz wątpliwości wobec newsa,**
to tym ważniejsza jest jego weryfikacja
 - 8. Pamiętaj, że granica między prawdą i fałszem**
jest bardzo cienka. To czasem jedno słowo
 - 9. Pamiętaj, że polityka składa się niemal**
wyłącznie z nieprawdy
 - 10. Zanim się wypowiesz, trzy razy pomyśl**

Stowarzyszenie Dziennikarzy i Wydawców REPROPOL

Stowarzyszenie Dziennikarzy i Wydawców REPROPOL od 10 lat zajmuje się zarządzaniem powierzonymi prawami autorskimi oraz zabiega o wypłatę wynagrodzeń z tego tytułu dla wydawców prasowych. Na podstawie umów licencyjnych lub powierniczych dysponujemy prawami do 434 tytułów prasowych, wydawanych przez 73 wydawców. Członkami Stowarzyszenia jest 47 wydawców i 303 osoby fizyczne, w tym 286 dziennikarzy. 40 wydawców podpisało z nami umowy powiernicze.

Co robimy:

- *W oparciu o ustawę o prawie autorskim prowadzimy działalność związaną z inkasem i repartycją wynagrodzeń dla wydawców prasy z tytułu opłat reprograficznych. Z tego tytułu do wydawców prawie 6,5 tys. tytułów prasowych trafia corocznie około 3 mln zł.*
- *Na podstawie zawartych umów licencyjnych z pięcioma firmami monitoringu mediów (poza Instytutem Monitorowania Mediów i Press-Service Monitoring Mediów) uzyskujemy ok. 200 tys. zł rocznie za zwielokrotnianie i cyfrowe rozpowszechnianie fragmentów dzienników i czasopism na wewnętrzne potrzeby różnych instytucji.*
- *W ramach wydzielonego funduszu na działalność kulturalną i edukacyjną pochodzącego z opłat reprograficznych wspieramy przedsięwzięcia na rzecz środowiska prasowego i czytelnictwa prasy.*

Co chcemy zrobić:

- *Zabiegamy w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego o objęcie zbiorowym zarządem również dziennikarzy. Wraz z wydawcami byłiby oni beneficjentami opłat reprograficznych oraz wynagrodzeń uzyskiwanych z licencji pressclippingowych, łącznie w granicach 3 mln zł rocznie.*
- *Planujemy nowe fundusze na wspieranie działalności środowiska dziennikarskiego i wydawniczego w przypadku, gdy zwiększą się kwoty opłat reprograficznych z tytułu objęcia nimi m.in. tabletów i smartfonów.*
- *Współuczestniczymy w procesie implementacji Dyrektywy o prawach autorskich i prawach pokrewnych na jednolitym rynku cyfrowym związanym z wprowadzeniem praw pokrewnych dla wydawców, przy założeniu podziału otrzymanych opłat od GAFA 50% dla wydawców i 50% dla dziennikarzy.*

Spis treści

JAKUB BIERZYŃSKI Trzy ważne pytania	9
JACEK DĄBAŁA Opłaca się być nieufnym	13
JAROSŁAW KUISZ Szczepionka na e-rzeczywistość	17
JACEK WASILEWSKI Jak plotki stały się groźne	21
DOROTA GAWRYLUK Wyjść ze swojej bańki	25
WIESŁAW GODZIC Show wypiera debatę	29
EDWIN BENDYK Warto płacić za rzetelność	33
TOMASZ KOWALCZUK Mylimy prawdę z racją	37
MAREK MILLER Rozświeć ciemne miejsca	43
JERZY BRALCZYK Mów szybko, ale z namysłem	45
BEATA BIEL, BRYGIDA GRYSIAK W obronie bezbronnego odbiorcy	49
CHRISTOPHER WYLIE Łatwiej szerzyć kłamliwe informacje, niż przyswajać prawdziwe	53

Wszystkie rozmowy – oprócz ostatniej – przeprowadziła Magdalena Pernet. Ukazały się one w „Rzeczpospolitej” w cyklu „Dekalog walki z dezinformacją”. Wywiad z Christopherem Wylie, z którym rozmawiał Michał Szuldrzyński, został opublikowany w „Plusie Minusie”

REGUŁA 1. News odnosi się do faktów, nie do opinii.

Opinie to zwykle interpretacje faktów

Trzy ważne pytania

Problemem nie są opinie, ale pseudoinformacje niezgodne z faktami oraz mieszanie opinii z faktem. Nie tylko opinie udają fakty, ale fakty zaczynają być interpretowane jak opinie

– mówi **JAKUB BIERZYŃSKI**

Jak radzić sobie z dużymi kwantyfikatorami typu „Polacy wspierają”, „Polska sprzeciwia się”, które same w sobie zawierają opinię?

Perfidia takiego wyrażenia polega na tym, że to jest opinia, która udaje fakt. Mało tego, kwantyfikator zazwyczaj jest domyślny. Rozbierzmy logicznie zdanie „Polacy popierają Mateusza Morawieckiego”. Czy to jest zdanie logicznie fałszywe czy prawdziwe? To jest zdanie logicznie prawdziwe, bo są Polacy, którzy popierają rząd Mateusza Morawieckiego. Lecz zdanie przeciwne: „Polacy nie popierają rządu Mateusza Morawieckiego”, też jest logicznie prawdziwe. Perfidia polega na tym, że w domyśle odbiorca, czytając to zdanie, dopowiada sobie „wszyscy Polacy”, a nie „niektórzy Polacy” albo „są tacy Polacy, którzy...” itd. W domyśle nasz umysł od razu produkuje zdanie „Wszyscy Polacy popierają Mateusza Morawieckiego”. I ten wielki kwantyfikator nawet nie jest potrzebny, bo on sam pojawia się w głowie odbiorcy. Tego rodzaju manipulacja to jeden z głównych mechanizmów działania pasków propagandy TVP. Tam takie zdania pojawiają się nagminnie, że Polacy czegoś chcą albo czegoś nie chcą, coś lubią, czegoś nie lubią, coś popierają albo krytykują. Albo Niemcy czegoś chcą lub nie chcą, albo Anglicy patrzą na Polaków z podziwem. Takie paski mają tę fantastyczną cechę, że są logicznie prawdziwe, natomiast ich propagandowy charakter polega na niedomówieniu.

Czym grozi używanie takich zwrotów?

To jest przede wszystkim problem polegający na tym, że kreuje się fałszywy obraz świata. To właśnie ma na celu propaganda, kreowanie fałszywego obrazu świata, który opiera się na jedności opinii, że Polacy coś chcą albo czegoś nie chcą. Buduje się świat monolityczny. Każda



RADEK PASTERSKI

JAKUB BIERZYŃSKI – socjolog, publicysta, komentator rynku mediowego, prezes domu mediowego OMD; w kampanii przed eurowyborami doradzał liderowi Wiosny Robertowi Biedroniowi

autorytarna władza próbuje zbudować obraz świata, w którym ona ma jedyną rację, reprezentuje jedyną prawdę, reprezentuje tych wszystkich Polaków, którzy coś kochają albo czegoś nienawidzą. To jest najważniejszy cel tak sformułowanej propagandy – budowa fałszywej jedności opinii i przekonani. W domyśle to władza reprezentuje tę jedność, bo władza głośno wyraża zdanie Polaków na różne tematy, a to zdanie jest jednolite, bo tak zostało zaprojektowane w tym przekazie propagandowym.

Czy można artykułować przekaz w sposób wolny od opinii?

Moją rolą jako publicysty jest kształtowanie opinii, ja nie jestem dziennikarzem. Interpretuję fakty. Moje

teksty są subiektywne, ukazują się w dziale „Opinie”. Natomiast wyobrażam to sobie w ten sposób, że dziennikarz informacyjny przedstawia fakty, nie opinie. Niestety, jest tak, że we współczesnym świecie, w którym królują media społecznościowe, jest całe spektrum publikacji, przy czym im bardziej są one sensacyjne, tym bardziej chwytliwe, robią większe zasięgi. I nikt nie dba o to, czy to prawda czy fałsz, czy opinia czy fakt. Nie uczy się też tego w szkołach. Na języku polskim czy wiedzy o społeczeństwie nie ma lekcji, które uczą dzieci, jak się zorientować, co jest opinią, a co faktem. Dlatego tak łatwo jest manipulować ludźmi. Tymczasem tworzenie wolnych od opinii tekstów jest jak najbardziej możliwe. Pisanie nie polega oczywiście na tym, żeby pozbyć się opinii. Obiektywne pisanie polega na tym, żeby oddzielić opinię od faktu. Należy powiedzieć czytelnikowi: „to jest fakt, a ja ten fakt interpretuję w konkretny sposób. Możesz się zgodzić z moją opinią lub nie, ale nie możesz nie zgodzić się z faktem”. Warto zauważyć, jak często ludzie nie zgadzają się z faktami: „nie wierzę w koronawirusa”, „nie wierzę w ocieplenie klimatu”, „nie wierzę, że Ziemia jest okrągła”. Jest tak, ponieważ to działa również w drugą stronę – nie tylko opinie udają fakty, ale fakty zaczynają być interpretowane jak opinie.

Jak zatem odbiorcy mogą radzić sobie z takimi zabiegami językowymi?

Jedyną skuteczną metodą radzenia sobie z takim przekazem jest pytanie o kwantyfikator, pytanie: jacy Polacy, którzy Polacy, ilu tych Polaków jest. Po takiej analizie ta układanka natychmiast runie. Od razu wszystko widać, to jest rentgen, który prześwietla bzdurę, ona natychmiast staje się widoczna, zaczyna niemal świecić jak w ultrafiolecie.

A co powinien zrobić odbiorca, który na dwóch różnych portalach widzi dwa różne tytuły? Na jednym widzi tytuł „Polacy chcą zmian”, a na drugim „Polacy nie chcą zmian”.

Powinien zadać sobie pytanie: którzy Polacy chcą zmian, a którzy nie chcą zmian? Ilu ich jest? Gdzie oni są? Czy ja ich znam? Bo oczywiście faktem jest, że są Polacy, którzy chcą zmian, i są Polacy, którzy nie chcą zmian. Z tego punktu widzenia o wiele bardziej niebezpieczne jest drugie zjawisko, zjawisko fałszywej tożsamości. Tytuły, które zalewają wszystkie portale internetowe, tzn. „Polska przegrała głosowanie”, „Polska domaga się odszkodowań”, „Polska płacze po Janie Pawle II” itd. Polska robi często bardzo dziwne rzeczy: płacze, cieszy się, wstydzi, złości i tak dalej. Zawsze wtedy mówię: „Daj mi, proszę, telefon do Polski, chętnie do niej zadzwonię i zapytam, co Polska myśli, sądzi, dlaczego płacze, dlaczego się cieszy”. Bo rozumiem, że jeżeli ktoś pisze, że Polska coś robi, w coś wierzy, to taka osoba ma bezpośredni telefon komórkowy do Polski i z nią rozmawiała. Przecież skądś to wziął, wnioskuję, że Polska mu to po prostu powiedziała. To się wzięło

”
Tworzenie wolnych od opinii tekstów jest jak najbardziej możliwe. Pisanie nie polega na tym, żeby pozbyć się opinii. Obiektywne pisanie polega na tym, żeby oddzielić opinię od faktu

z języka sportowego, gdzie w naturalny sposób komentatorzy sportowi przez lata mówili, że „Polska wygrała mecz” albo „Polska przegrała”. Co jest oczywiście dopuszczalne w sytuacji, gdy mamy do czynienia z rozgrywkami sportowymi reprezentacji narodowych, bo reprezentacja jest ściśle zdefiniowana. Mamy drużynę narodową,

która reprezentuje państwo, naród w rozgrywkach międzynarodowych na igrzyskach i rzeczywiście to państwo albo wygrywa, albo przegrywa, bo jego drużyna wygrywa lub przegrywa. Niestety, ten język udzielił się językowi polityki i językowi poważnych wydawnictw. Od tego nie ma wyjątków, wszyscy w internecie piszą, że Polska coś robi, myśli, czuje itd. A Niemcy zrobiły coś innego, a Francja coś jeszcze innego.

To są zdania z gruntu fałszywe. Tu też wpisuje się prawicowy argument „sankcje na Polskę”. Nie ma czegoś takiego jak sankcje na Polskę. Mogą być sankcje na polski rząd. Polska nie przegra w Strasburgu, przegrać może minister albo premier, albo rząd, który reprezentuje państwo, ale nie Polska jako kraj. Ja zaliczam się do Polski i ja wyrok Trybunału Europejskiego odbieram jako moje osobiste zwycięstwo, i na pewno jest parę milionów ludzi w Polsce, którzy też tak uważają, bo nie identyfikują się ze swoim rządem. To, że przegrywa rząd, nie znaczy, że przegrywa Polska, ja nie przegrałem.

Ale to język właściwie wszystkich mediów...

Rzeczywiście, takie podejście funkcjonuje w mainstreamowym języku. To niebezpieczna pułapka, ponieważ buduje zmistyfikowaną tożsamość. Odbiorcy ciągle się powtarza, że istnieje jakaś Polska, która jest jednością i której tożsamość reprezentuje władza. Władza przegrywa albo wygrywa głosowanie, więc Polska wygrywa i przegrywa. Reprezentacją narodową staje się władza. Chcąc nie chcąc, używając tego języka, niezależne media wspierają propagandę władzy – budują zmistyfikowaną tożsamość. Zmistyfikowana tożsamość i fałszywa jedność, obie mają drugie dno. Służą jako narzędzie do marginalizacji opozycji, wykluczenia inaczej myślących ze wspólnoty, narzucenia monopolu jedynie słusznej prawdy, zakneblowania oponentów. Bo jeśli „Polska jest karana”, a ja popieram sankcje na rząd za łamanie praworządności, to znaczy, że jestem przeciw Polsce, jestem wrogiem Polski. Jeśli Polacy kochają rząd, a ja nie kocham, to nie jestem Polakiem. To bardzo skuteczne narzędzie nie tylko propagandy, ale także polityki. Proszę przypomnieć sobie o „donosach na Polskę w Brukseli”. W efekcie PiS skutecznie sparaliżował Platformę, która w PE nie głosowała w obronie praworządności, a sześciu posłów, którzy wyłamali się z dyscypliny, grożono karami. Szantaż wykluczeniem okazał się skuteczny.

W jaki sposób i do jakich celów władza wykorzystuje język manipulacji?

Język fałszywej jedności i zmistyfikowanej tożsamości jest eksploatowany przez propagandę władzy. Paski TVP to wybitny wręcz popis manipulacji. Na przykład zdanie: „Silna Polska irytuje Niemców” jest całą wielką manipulacją. Co to jest „silna” Polska? Pod jakim względem silna? W jakiej dziedzinie? Czy ta siła jest realna? Czy rzekoma siła Polski to fakt czy opinia? Czy siłę tę można skwantyfikować? Jaką miarą mierzymy siłę państw? Czy to miara powszechnie przyjęta jako standard? W jakiej dziedzinie? Czy można ją porównać z innymi krajami? Jak Polska wypada na ich tle? Co jest punktem odniesienia do oceny „siły” Polski? Czy Polska może być silna pod każdym względem? Co autor paska miał na myśli, pisząc „Polska”? Gospodarkę, wspólnotę mieszkańców, kulturę? W jaki sposób Polska „irytuje” Niemców? Jak to się objawia? Jak zmierzono poziom irytacji? Ile obecny poziom irytacji wynosi na skali irytacji? Jest wyższy niż poprzednio? Czy wzrost irytacji można przypisać owej jakkolwiek rozumianej Polsce? Czy pomiędzy „siłą” „Polski” i „irytacją” Niemców zachodzi zależność przyczynowo-skutkowa?

W jaki sposób ją zmierzono? Ilu Niemców wyraziło swoją irytację silną Polską. I tak dalej... Paski telewizyjnej propagandy już niedługo posłużą jako materiał dydaktyczny do uczenia dzieci krytycznego myślenia, rozumienia tekstów. To skrajne przejawy czystej propagandy. Na temat tego jednego zdania można napisać cały artykuł. Ten język jest obecny wszędzie. Także w niezależnych mediach. Niestety, wszyscy jesteśmy skażeni językiem propagandy.

Winy można upatrywać w szkołach, które nie uczą, jak radzić sobie z tego rodzaju manipulacją?

Gorzej, dzieci są uczone w szkołach zmistyfikowanej tożsamości. Wystarczy spojrzeć, jak dużą część podręczników do języka polskiego zajmuje romantyzm, jak istotnie jest on w szkole eksploatowany, jak bardzo duch polski ukształtowany jest na romantyzmie. A przecież to właśnie romantyzm dawał ducha narodowi, jedność, Polskę na krzyżu rozpętą, jak Chrystus umęczoną. Polska cierpiała, Polska się budziła, Polska walczyła, Polska była sprawiedliwa, czysta i cnotliwa. Polska miała cześć (zbrukaną) i honor (wieczny), wolę (niezlomną) i ducha (niezwyciężonego) i tak dalej. Polska wtedy po raz pierwszy wstawiała z kolan. To romantycy wymyślili tę historię, teraz tak eksploatowaną przez polityków. Dzieci są uczone w szkole zmistyfikowanej tożsamości, ten język jest powszechnie wpajany w polskim systemie edukacji, potem na patriotycznych mszach. Romantyzm zdominował polski język patriotyczny do tego stopnia, że trudno nam myśleć o ojczyźnie, patriotyzmie, wspólnotcie narodowej innym językiem. Budując fałszywą jedność i zmistyfikowaną tożsamość, otwiera się drzwi do dyktatury. Język i mitologia nazistowskich Niemiec są najlepszym przykładem tego mechanizmu.

Jak zatem nauczyć się myślenia świadomego, jak stać się czujnym na te zabiegi?

Przed wszystkim apeluję do redakcji w Polsce, do mediów niezależnych: nie wpisujcie się w narrację propagandy władzy, w autorytarny język zmistyfikowanej tożsamości i fałszywej jedności. Robicie to w sposób bezwiedny, ale nagminnie, codziennie. To jest pierwsza kwestia, aby dziennikarze, publicyści, wydawcy zwracali na to uwagę, to jest kwestią fundamentalną, aby to się nigdzie nie pojawiało. Szczególnie w tytułach. Ja rozumiem, że takie tytuły dobrze się klikają, bo są budowane na pozór sensacji, że Polska coś zrobiła, a Francja zrobiła inaczej, bo

się z Polską nie zgadza. Był taki rysunek Marka Raczkowskiego: lekcja w szkole, pani nauczycielka pyta uczniów: „Czy ja się z Polską muszę zgadzać, nawet gdy Polska nie ma racji?”. Musimy patrzeć na to, co piszemy szczególnie w leadach i tytułach, żeby ani zmistyfikowana tożsamość, ani fałszywa jedność się w nich nie pojawiały. Wiem, że to jest myślenie na skróty, ale w ten sposób, chcąc nie chcąc, wpisujemy się w propagandę autorytarną, czego trzeba się wystrzegać.

Gdy rozmawiamy o fake newsach, pojawia się również kwestia wolności słowa. Czy walka z fake newsami nie jest po trosze walką z wolnością słowa?

Wolność słowa polega na tym, że istnieje także wolność kłamstwa. O wiele groźniejsza jest próba ograniczania kłamstwa cenzurą niż zalew fake newsów. Próba ograniczania kłamstwa cenzurą zawsze powoduje, że kłamstwo kwitnie, a ograniczana jest prawda. Cenzura zawsze działa w jedną stronę: przeciwko prawdzie. To są bardzo popularne sposoby ograniczania wolności prasy, niszczenia wolności mediów. Nagle władza przypomina sobie o problemie fake newsów, rozpoczyna kampanię przeciwko kłamstwu i ta kampania kończy się uchwaleniem prawa o gigantycznych karach finansowych nakładanych na redakcje za domniemane kłamstwa. Problem polega na tym, że o tym, czy to jest kłamstwo, zdecyduje sąd, który jest podległy władzy, a o tym, czy należy w tej sprawie wszcząć postępowanie, decyduje prokuratura, która jest podległa władzy. To uniwersalny sposób na zakneblowanie niezależnych mediów. Nie cenzura zatem, lecz systematyczna jawność jest lekiem na zakłamanie. Kłamstwo należy za każdym razem ujawniać. To trudne, bo przyzwyczailiśmy się do zalewu kłamstw. W psychologii nazywa się to habituacją na bodziec. Polega to na przyzwyczajeniu się do pewnego stale powtarzanego bodźca, który spotkany pierwszy raz wywołuje szokujące wrażenie, a po którymś razie przechodzi kompletnie niezauważony. Tak samo jest z kłamstwem – pierwsze szokuje, a setne nie. W polskiej polityce są osoby, które zdają sobie sprawę, że mówienie kłamstw jest bezkarne, bo ludzie się do tego przyzwyczaili. Dla części elektoratu te kłamstwa są wręcz poręcznym narzędziem racjonalizacji tego, w co wierzą. Ale co my jako wolne media możemy zrobić? Wyobrażam sobie, że we wszystkich programach telewizyjnych prowadzonych na żywo, w momencie, gdy prowadzący widzi, że gość kłamie, powinien podnosić małą czerwoną chorągiewkę,

nic więcej, nie wdawać się w dyskusję, ale alarmować, że ten człowiek zaczyna kłamać. To mogłoby podziałać na polityków dyscyplinująco.

A jak radzić sobie z fake newsami w innych przestrzeniach, np. na platformach społecznościowych, forach, poza mediami profesjonalnymi?

Jeżeli pojawia się opinia, nawet niezgodna ze zdrowym rozsądkiem, to ja nie mam nic przeciwko temu. Na tym polegają media społecznościowe i wolność wyrażania opinii, że każdy może mieć taką opinię, jaką chce. Możemy się z nią nie zgadzać, może ona nam być obojętna i możemy na nią w ogóle nie reagować, ale prawo do wygłaszania opinii ma każdy. Problemem nie są opinie, ale kłamstwa niezgodne z faktami i mieszanie opinii z faktem. Jednym z najbardziej niebezpiecznych kłamstw było oświadczenie Donalda Trumpa, że koronawirusa można wyleczyć, wstrzykując sobie środek dezynfekujący. To nie była opinia, bo on nie powiedział „ja myślę”, „ja tak sądzę” czy „wydaje mi się”. On to przedstawił jako fakt – oczywiście nieprawdziwy, bo to jest kłamstwo. W internecie również pojawiają się takie rzeczy i na to nie ma chyba rady, bo cenzura nie szkodzi kłamstwu, ale knebluje prawdę.

Czy odporność Polaków na takie kłamstwa różni się od odporności obywateli innych krajów?

Polacy w stosunku do mieszkańców innych krajów częściej cierpią na wtórny analfabetyzm. 70 proc. nie jest w stanie powtórzyć treści tekstu, który przeczytało, a trzy czwarte po przeczytaniu rozkładu jazdy autobusów nie jest w stanie odpowiedzieć na pytanie, kiedy jest ostatni kurs. Polska szkoła nieskutecznie uczy rozumienia przeczytanych treści, w ogóle nie uczy krytycznego myślenia.

Jak brzmi złota rada na to, by radzić sobie z fake newsami?

Trzeba zadać trzy pytania. Pierwsze: czy autor podaje fakt czy opinie, czyli pisze o tym, w co wierzy, co mu się wydaje. Drugie: czy ja się z tym zgadzam. To pytanie pomocnicze. Można się nie zgadzać z opinią, ale nie można się zgadzać lub nie zgadzać z faktem. Te dwa pytania pomogą odróżnić fakt od opinii. Trzecie pytanie dotyczy tego, co sugeruje wielki kwantyfikator, czyli „którzy Polacy?”, „jacy Polacy?”, a jeśli mówimy o Polsce, to poproszę o numer telefonu do niej. ■

REGUŁA 2. Nie wystarczy mieć poglądy.
Do oceny sytuacji trzeba również włączyć myślenie

Opłaca się być nieufnym

**Gdy ludzie myślą, że myślą, a nie myślą lub za słabo myślą,
to zdemokratyzowanie pozwala im wystawiać wszystko,
co przyjdzie im do głów – mówi PROF. JACEK DĄBAŁA**

**Jak nauczyć się czegoś, co zdawałoby się
czynnością wrodzoną, oczywistą, czyli jak
nauczyć się sprawnie myśleć?**

Pytaniem tym sięgamy do sedna rzeczy. Dlaczego mamy problem z myśleniem? Ponieważ z myśleniem jest trochę jak z mediami – wszyscy je oglądamy, wszyscy ich słuchamy, wszyscy je czytamy i konsumujemy. Przez to wyrabia się w nas przekonanie, że wszyscy się na nich znamy. To jest moment centralny, który sprawia, że wyłączamy zdolność samokwestionowania. Drugi moment, który wydaje się niezwykle istotny, to ten, który powinien być od najmłodszych lat mocno podkreślany, a mianowicie, że proces myślenia w swojej naturalności jest tak dalece niezauważalny, iż jako ludzie jesteśmy skłonni uznać, że skoro myślimy, to myślimy dobrze. Bardzo rzadko zdarza się, że na pewnym etapie kształcenia przyznajemy, że istnieje coś takiego jak gradacja, poziom zdolności myślenia.

**Wspomnił pan o edukacji. Jaką rolę
w kształtowaniu świadomego myślenia odgrywa
szkoła, sposób, w jaki napisane są podręczniki?**

Sądzę, że jesteśmy przed dużymi zmianami w rozumieniu edukacji. Większość z nas nie zdaje sobie sprawy, że podręczniki, z których korzystamy, trafiają do historii. Natomiast problem sprowadza się do tego, że od początku musimy selekcjonować nauczycieli, czyli ludzi – powiedzmy dość wymownie – władnych uczyć. Już tylko to wydaje się pracą karkołomną i rozłożoną na lata, bo nie wszyscy będą chcieli zgodzić się z tym, że nie nadają się do nauczania.

Drugi element to selekcjonowanie uczniów znacznie mocniejsze niż do tej pory i w znacznej mierze niezgodne z psychologicznym, budującym podejściem. Mianowicie będziemy musieli sobie odpowiedzieć na pytanie,



MATERIAŁY PRASOWE

JACEK DĄBAŁA – ekspert w dziedzinie mediów, komunikowania, literatury i filmu, pisarz, scenarzysta, audytor jakości mediów, były dziennikarz radiowo-telewizyjny; kierownik Katedry Warsztatu Medialnego i Aksjologii na KUL

jak informować młodego człowieka od samego początku, że musi być pokorny ze swoją niewiedzą w stosunku do świata, do wszystkiego, co trafia do umysłu. Trzeba używać słów, określać, że ktoś jest mniej zdolny, mniej lotny, a nawet, że jest – żeby każdy zrozumiał – głupi. I nie jest to kwestia obrażania kogokolwiek, lecz elementarnej prawdy o nas. Owszem, jesteśmy sobie równi w swoim jestestwie, ale nie w zdolności myślenia. Zrozumienie tej oczywistości to właśnie prawdziwie personalistyczny szacunek do człowieka, a nie obłudne i efektowne utwierdzenie go w przekonaniu, że każdy jest równy.

Dlaczego trzeba o tym mówić jasno?

Powiem w skrócie: bo wypaczony pogląd o równości myślenia zagraża wszystkim. Wydaje mi się, że

jeśli nie przejdziemy tego niewyobrażalnie trudnego etapu, tego krytycznego wglądu w swój, w nasz poziom intelektualny, w inteligencję, we wrażliwość, kulturę osobistą, w pewne cechy wrodzone i jeżeli nie zaczniemy o tym mówić na poziomie podstawowym, to nie uda nam się doprowadzić myślenia do formatu, o jakim rozmawiamy, czyli w kontekście fake newsów. Cały problem polega na tym, że gdy ludzie myślą, że myślą – a nie myślą lub za słabo myślą – to zdemokratyzowanie pozwala im wysławiać wszystko, co przyjdzie im do główek, a najczęściej te główki są marne. I ten zalew marności trafiający do marności odbiorców tworzy fake newsy, ponieważ ten, kto proponuje fake news, czyli kłamstwo, proponuje je podobnie słabym umysłem. Te umysły zaczynają to powielać. Mamy do czynienia z sytuacją, w której większość – a niestety tworzą ją nie osoby najzdolniejsze czy najbardziej inteligentne – ma dostęp do sieci. Gdy mówimy o myśleniu w kontekście zdemokratyzowania sieci, to musimy zająć się właśnie myśleniem, żeby słabi intelektualnie ludzie w sieci wiedzieli, że są słabi. Do tego trzeba przyzwyczajać od początku.

Cała rzecz bowiem sprowadza się do słowa. Kto jest w stanie zrozumieć słowo, jeżeli – maksymalnie to upraszczając – na przykład nie lubi czytać.

Można powiedzieć: „Jak śmiesz wypowiadać się na jakikolwiek temat, skoro nie rozumiesz znaczenia słów albo rozumiesz je w sposób prostacki i sprowadzony właściwie 1:1, bo synonimiczność, bliskoznacznosc są ci obce”. Albo: „Wybierasz sobie słowa, a na inne się gniewasz, bo zostałeś zindoktrynowany, ogłupiony”. To brzmi bardzo mocno, ale rozmawiamy o problemie najmocniejszym: o kłamstwie, które wlewa się do głów społeczeństw i je niszczy, zabija, a one są nieświadome tego, że są niszczone, do chwili, gdy w sensie fizycznym i/lub psychicznym nie zaczną tego odczuwać. To ciąg zdarzeń, który zaczyna się od słowa, od jego rozumienia. Naturalnie nie mówię tu o „zawodowych fakenewsowcach”, rozmaitych propagandzistach, karierowiczach i cwaniakach, którzy – a zwykle nie są to kwiaty inteligencji – celowo wykorzystują swoją cyniczną kalkulację do oszukiwania ludzi. Czy to dla polityki, czy dla biznesu.

Jakie są najgroźniejsze skutki takiego powierzchownego bajdurzenia polityków? A jakie w przypadku każdej innej osoby, która publikuje w internecie swoje nieprzemyślane wypowiedzi?

Przed wszystkim wzajemne niezrozumienie się i niezrozumienie problemów, które nas otaczają. Zaczniemy od podstaw. Mamy słowa, ze słów składają się zdania, te zdania i ich sens powinniśmy rozumieć możliwie najbardziej wspólnie, jeżeli operujemy tym samym językiem, jesteśmy wychowywani w podobnej kulturze. Ale główny problem polega na nieznaności tzw. pól semantycznych. Dla przykładu weźmy słowo „mądry”. Gdybyśmy chcieli zapytać o synonimy funkcjonujące w granicach tego słowa, to okaże się, że ktoś wymieni ich pięć, dziesięć czy dwadzieścia pięć lub więcej. Dziennikarz, który jest czytany,

inteligentny, posługuje się np. 20 synonimami. Politycy w większości, choć przykro to stwierdzić, bo oni nami rządzą, a są na drabinie zaufania społecznego najniżej, znają np. pięć synonimów. A wśród odbiorców są tacy, że jeden zna, np. 20 synonimów, a drugi zna dwa. W dodatku wszyscy znają różne lub tylko częściowo te same. Dlatego się nie rozumiemy, dlatego tak trudno

Jedynym sposobem na wyrobienie sobie własnej opinii i kierowanie się nią jest kształcenie, ponadto ogromna otwartość i przede wszystkim sięganie ze świadomością do źródeł sprawdzonych, do dziennikarstwa jakościowego

nam dojść do wzajemnych pozytywnych interakcji.

Oczywiście należy pamiętać, że istnieje jeszcze jeden problem, z którym najtrudniej sobie poradzić. Polityka jest światem kłamstwa, światem dążenia do władzy za wszelką cenę i polityk zawsze będzie wykorzystywał słowa po to, żeby rządzić. Spotykają się dwie różne frakcje polityczne, nie rozumieją znaczenia słów albo rozumieją je różnie, a może się zdarzyć, że nawet gdy rozumieją je podobnie, to ze względu na interesy celowo pomijają właściwe znaczenie i sens słów. To jest dokładnie to, co dzieje się w propagandzie. To jest dokładnie to, co kreują boty i rozmaite trolle. Cynicznie wprowadza się treści, które idealnie pasują do określonych grup odbiorców. Politycy, dziennikarze i odbiorcy mogą funkcjonować w fake newsach, nie rozumiejąc się, ponieważ nie znają pól semantycznych na takim poziomie, jak należy. Mogą również w sposób bezwstydną po prostu manipulować prawdą dla władzy, pieniędzy czy sławy.

Jak zatem nauczyć się konfrontować opinie w taki sposób, by nie powielać ich, tylko wyrobić sobie własną?

Jedynym sposobem jest kształcenie, ponadto ogromna otwartość i przede wszystkim sięganie ze świadomością do źródeł sprawdzonych, do dziennikarstwa jakościowego. Akcja walki z fake newsami zainicjowana przez „Rzeczpospolitą” jest tego bezcennym przykładem. Należy wpajać od najmłodszych lat, mówić dzieciom, że większość informacji, które napotykają w sieci, jest przypadkowa, niesprawdzona. Natomiast gdy poszukają, to przekonają się, że są redakcje, są portale, na których ludzie ciężko pracują po to, żebyśmy dostawali możliwie najbardziej prawdziwą informację, najbardziej bezstronną. A jeśli jest to informacja niepewna, to autorzy o tym informują, że nie są do końca przekonani, że tak jest, ale z badań, które przeprowadzili, wynika, że raczej mówią prawdę. To jest ta potrzebna uczciwość.

Inną drogą mogłoby być wykorzystanie technologii. Jeżeli jakiś informatyk stworzyłby program do natychmiastowego zasywania informacji i podawania wyniku, czy np. opinia, komentarz, zdanie, reakcja danego polityka jest prawdziwa, to dziennikarzowi prowadzącemu rozmowę byłoby łatwiej, ponieważ do tego, co on myśli i wie, dojdzie osiągnięty dzięki sztucznej inteligencji wynik, pojawi się informacja, że ten człowiek np. kłamie albo beczelnie używa chwytu erystycznego. To byłby zupełnie nowy okres dla dziennikarstwa, dla polityków, dla odbiorców mediów.

W pana najnowszej książce „Medialne fenomeny i paradoksy” znalazło się 200 esejów, które prowokują do myślenia, których nie da się nie skomentować. Czy właśnie prowokacja może być antidotum na bezmyślność, rozwiązaniem, które zmusi do analizy i chęci uzasadnienia swoich racji zamiast jedynie ich głoszenia?

Prowokacja może być dobrym pomysłem, bo wszystko, co służy myśleniu, a nie gnuśności, otwiera nas na obronę przed fake newsem, przed kłamstwem. Prowokacja w dobrym, intelektualnym stylu, z dobrym zapleczem inteligenckim, kulturowym, wyobraźniowym. Natomiast trzeba od razu powiedzieć, że od dziennikarza, który porywa się na prowokację, wymaga się najwyższych kompetencji. Dziennikarza, który stosuje ten mechanizm, musi odróżniać od przeciętnej osoby, która prowokuje w sposób prostacki, to, że on to musi

robić z pełną świadomością. Musi potrafić wyjaśnić, dlaczego ten mechanizm stosuje. To jest moim zdaniem jedna z dróg, które warto przemyśleć, dopracować i być może poświęcić temu więcej uwagi niż do tej pory. Ponieważ, gdy używamy słowa „prowokacja”, to nawet w polach semantycznych się to negatywizuje. Natomiast prowokacja może być znakomitym zaczynem dla intelektu, dla myślenia. Może wychodzić od podstaw nawet ku osobom prymitywnym po to, by wchodziły one w dyskurs, w polemikę, ale nie na poziomie prostackim, inwektywowym, tylko poszukiwania we własnym umyśle nieodkrytych dróg. Mówiąc żartobliwie, wtedy nawet głupi może się zdziwić sobą. To jest inspirujący kierunek.

Jak będzie przebiegał rozwój fake newsów? Czy w pewnym momencie nastąpi zwrot? Odbiorcy zmęczeni gąszczem bezwartościowych informacji odejdą od notek w mediach społecznościowych na rzecz wiarygodnych źródeł? Czy raczej jest to proces nieodwracalny, który będzie się pogłębiał?

W normalnym życiu, w trybie, w jakim się poruszamy – pełnym nadziei, marzeń, zwyczajności – to jest nieodwracalne. Demokracja sama w sobie daje wolność wypowiedzania się wszystkim, więc możemy ograniczać tylko skutki. Natomiast to może zostać nie tyle zlikwidowane, ile w znacznej mierze ograniczone, gdy zewnętrzne okoliczności wymuszą na człowieku dążenie do poszukiwania prawdy. Gdy znaleźliśmy się w stanie pandemii, nagle się okazało, że wiele osób ulega fake newsom, to naturalne, ale też wiele osób, tych najbardziej świadomych, szuka sprawdzonych informacji. Epidemia, zagrożenie są tym, co wymusza na człowieku poszukiwanie prawdy. Oczywiście zalew fake newsów nadal przeszkadza, ale gdy zagrożone jest moje życie, gdy widzę, że ktoś z moich bliskich znajomych umarł, umiera lub choruje, gdy ja sam choruję – zupełnie inaczej podchodzę do źródła informacji. Na świecie byli i nadal pojawiają się ludzie znani, wśród nich oczywiście politycy, którzy zlekceważyli epidemię. I nagle, gdy się zakazili, optyka bardzo im się zmieniła. Przykładem może być brytyjski premier Boris Johnson. Z nonszalanckiego podejścia, które wynikało w dużym stopniu z nasycenia przestrzeni medialnej fake newsami, których premier nie mógł sprawdzić, ale które ukształtowały jego podejście, szybko zrezygnował, gdy sam zachorował, to wtedy zobaczył, że istnieją twarde

dane, twarda informacja, twarda medycyna, twarde metody. Wszyscy miłośnicy fake newsa w pewnym momencie dowiadują się, że cudów nie ma. Są: rozsądek, logika i matematyka. Owszem, fake news jest cudem, bo kłamstwo jest cudem. W realnym życiu cuda zdarzają się rzadko, chociaż mogą się podobać i miło jest w nie wierzyć.

Wspomniał pan o demokracji i wolności słowa. Na ile walka z fake newsami jest ograniczaniem dezinformacji, a na ile ograniczaniem wolności słowa? Gdzie leży granica?

Ludzie świadomi niebezpieczeństwa ograniczenia wolności słowa nigdy nie zgodzą się na to, by ją politycznie czy ustawowo regulować. To wstęp do braku wolności w ogóle. Benjamin Franklin powiedział kiedyś, że gdy dla tymczasowego bezpieczeństwa zrezygnujemy z podstawowych wolności, nie będziemy mieli ani jednego, ani drugiego. Nie wolno systemowo ruszać wolności słowa. Można wyłącznie ciężko pracować, uświadamiać, że słowa mają swoje konsekwencje, że można za nie odpowiedzieć, że powinniśmy się edukować po to, aby nie wierzyć słowom od razu, bez sprawdzenia i ponad miarę. Ufaj, ale sprawdzaj. Słowa muszą krążyć. Język sam w sobie musi być wolny, nie można językowi zakładać kagańca, ponieważ w języku, w słowie, wyraża się człowiek w całej pełni. Jak można „mnie” mówiącemu czy operującemu możliwie nieograniczonym zasobem słów powiedzieć „tych nie używaj, a używaj tylko tych”? To jest świat, który w ogromnym uproszczeniu można porównać i zilustrować w sensie politycznym chociażby z Koreą Północną.

Gdy mowa o Korei Północnej w odniesieniu do wolności słowa, nasuwa się kwestia cenzury, a wraz z nią odniesienie do czasów PRL. Czy Polacy jako naród, który doświadczył propagandy i cenzury, są bardziej odporni na kłamstwo?

To doświadczenie raczej nie pomaga, ponieważ przeciętna, która jest w każdym narodzie, jest raczej na niskim poziomie świadomości medialnej. Ponadto wydaje mi się, że to jest pewien rodzaj ślepoty, który został zaszczipiony na poziomie socjalistyczno-komunistycznej indoktrynacji. Ta ślepota do dzisiaj funkcjonuje w głowach starszego pokolenia z krajów byłego bloku wschodniego i ludzie tęsknią za socjalizmem lub

komunizmem. To reakcja na zupełny brak przygotowania na konfrontację z zagadnieniem wolności słowa. Dlatego moim zdaniem to doświadczenie nie pomaga.

Pańskie prace medioznawcze dotyczą nie tylko Polski. Czy fake newsy w polskiej przestrzeni publicznej różnią się czymś od zagranicznych?

Nie wydaje mi się. Specyfika kłamstwa jest podobna, ono po prostu ma określony skutek. Szczególnie niebezpieczne jest wtedy, gdy oddziałuje masowo i w konsekwencji obserwujemy np. określone preferencje i wybory polityczne w rozmaitych krajach. Kłamstwo wszędzie jest kłamstwem. To jedynie kwestia pewnej poetyki, techniki, użytych środków, określonej kultury politycznej oraz doświadczeń historycznych. To także sprawa środków i metod dostosowanych do danego narodu, natomiast wynik jest podobny w każdym kraju. Nawet w kraju demokratycznym może dojść do ogłupienia społeczeństwa fake newsami, w konsekwencji do ogłupienia ludzi poprzez wybór człowieka bezlitosnego, cynicznego, psychopatycznego. Zarówno Hitler, jak i Stalin to byli ludzie w jakiś sposób wybrani.

Jaką by pan dał złotą radę na radzenie sobie z fake newsami, z kłamstwami? I jak nauczyć się wypowiadać w sposób przemyślany?

Po pierwsze, należy być samokrytycznym w stosunku do swojej wiedzy i poziomu intelektualnego. Po drugie, należy się zastanowić, czy informacja, która do nas dociera, jest informacją, która płynie z profesjonalnego, uznanego dziennikarstwa, czy przeciwnie, jest to coś spoza tego świata. Trzeci element to właściwie ustawiczna nieufność, która powinna nas zawsze prowadzić do wyłącznie różnych profesjonalnych mediów. Różnych, ponieważ nawet profesjonalne media, co jest niezauważalne dla odbiorców, mogą się podpisywać pod określonymi ideologiami politycznymi lub biznesowymi. To jest właśnie ukryte niebezpieczeństwo. Bezstronne media występują w życiu najrzadziej. Do tego poszukiwania, tej dywersyfikacji informacji, należy się przyzwyczaić, ponieważ gdy odbiorca sięga po informację zarówno z lewej, jak i prawej strony, ale robi to z rozmysłem, nie ukończy sobie tylko jednej strony, większe jest prawdopodobieństwo, że się obroni, że nie zostanie nasycony kłamstwami, nie zostanie zindoktrynowany, czyli ogłupiony i doprowadzony do stanu, w którym nie wie nawet, że nie wie, iż jest medialnie głupi. ■

REGUŁA 3. Opieraj się nie na jednym, ale na możliwie wielu źródłach

Szczepionka na e-rzeczywistość

Na jedną prawdziwą informację na Twitterze przypada sześć kłamstw

– wynika z raportu opublikowanego w 2018 r. Czy nie popełniamy więc błędu, próbując poradzić sobie z jednym fake newsem, skoro co chwila pojawiają się nowe?

– pyta DR JAROSŁAW KUISZ

Dlaczego należy opierać się na więcej niż jednym źródle informacji?

Stanisław Jerzy Lec zażartował: „By dojść do źródła, trzeba płynąć pod prąd”. Wziąłbym ten aforyzm na serio. W 2020 roku próba opierania się na więcej niż jednym źródle informacji oznacza płynięcie pod prąd globalnych tendencji. Zamykanie się w medialnych bańkach czy wybieranie „newsów”, które są dla nas przyjemne – to przecież rzeczywistość XXI wieku. Kto będzie zadawał sobie trud sprawdzania wiarygodności wpisu, któremu już z rozpędu dał „lajka”? Co ważne, nikt z nas nie jest przygotowany do poruszania się w nowym medialnym otoczeniu. Ono zaskoczyło nas wszystkich. Nagle się okazało, że muszą sobie z nim poradzić zarówno dziennikarze, politycy, jak i pracownicy nauki. Ku naszemu zaskoczeniu – czy może ku przerażeniu – jak dotąd najlepiej poradzili sobie w nowym otoczeniu medialnym ci, którzy wcześniej znajdowali się na marginesach debaty publicznej. Radykalni politycy mieli najmniej do stracenia. Okazali się najbardziej elastyczni w nowym środowisku medialnym. Wreszcie oni pierwsi – nie mając tego świadomości – odwoływali się do prawidła, które dawno temu sformułował Marshall McLuhan, że w polityce wygrywa ten, kto najlepiej zrozumie środki masowego przekazu swoich czasów. Z krótkiej historii mediów kanadyjskiego teoretyka mediów wynikało, że ten, kto najlepiej wykorzysta współczesne mu środki masowego przekazu, czyli prasę papierową, radio, telewizję itd., ten może wygrywać politycznie.

Teraz również to obserwujemy?

Jeżeli spojrzymy na wybór Donalda Trumpa w 2016 roku, nie można mieć cienia wątpliwości, że 45. prezydent USA po prostu ominął tradycyjne media. Okazało



DARIUSZ GOLIK

JAROSŁAW KUISZ, historyk państwa i prawa (WPiA UW), analityk polityki, twórca i redaktor naczelny „Kultury Liberalnej”, autor książki „Propaganda bezprawia. O »popularyzowaniu prawa« w pierwszych latach Polski Ludowej”

się, że Twitter, który jest medium jednoosobowym, wystarcza, żeby ominąć legendarne gazety i telewizję, te wszystkie „New York Timesy” czy CNN-y. Rok 2016 to była wielka lekcja dla demokracji w skali globalnej. Ale na Twitterze sprawa oczywiście się nie kończy. Dla demokracji jest jeszcze nie mniej ważny inny technologiczny trend, którą uosabia chyba najlepiej skandal związany z brytyjską firmą doradztwa politycznego Cambridge Analytica. Ujawniono nowe sposoby wpływu na decyzje wyborców w skali świata. Okazało się, że to nie metafora, tylko rzeczywistość technologiczna. Zatem to, że Donald Trump mógł tweetować bez ustanku, to jedna kwestia. Ale równie ważne okazało się, że nowe technologie umożliwiły stosowanie zabie-

gów, do których nie dorosło ani prawo wyborcze, ani mentalność większości z nas. Tego nikt nie przewidywał. Nawet Wielka Brytania obudziła się z kaczem po głosowaniu w sprawie brexitu. A to kraj o standardach obywatelskich, które uchodzą za wzorcowe. Kiedy ujawniono sposób, w jaki Cambridge Analytica wykorzystywała dane z mediów społecznościowych, okazało się, że ta firma miała prawdopodobnie poważny wpływ na referendum w 2016 roku, a niedługo potem na wybory amerykańskie. Cambridge Analytica udowodniła, że można pokusić się o nakreślenie profilu charakterologicznego większości wyborców amerykańskich – i próbować wywierać na nich wpływ w sieci. To jest coś, czego historia ludzkości dotąd nie знаła. Przeanalizowanie dziesięciu lat obecności danego wyborcy w mediach społecznościowych daje nieporównywalną z niczym innym wiedzę o nim. Po takich analizach można na przykład skłonić wyborców danego kandydata do tego, żeby nie wychodzili z domu w dniu wyborów. Albo też do tego stopnia odczłowieczyć czy zohydzić przeciwnika, że wyborca z całą pewnością nigdy na danego kandydata nie zagłosuje. Krótko mówiąc, globalne technologie liberalnych demokratów przyprowadzają ból głowy. Z jednej strony chciałoby się więc zachować sceptycyzm i powściągliwość w wydawaniu ocen. Tym bardziej odczuwa się potrzebę płynięcia pod prąd i sięgania do wielu źródeł. Z drugiej jednak strony nasze możliwości poznawcze są ograniczone. Wiemy, że nie jesteśmy w stanie sprawdzić wszystkich źródeł. Luksusem jest już sięganie do trzech, czterech.

Skoro wiemy, że nie jesteśmy w stanie sięgać do wszystkich źródeł, to w jaki sposób je selekcjonować, zwłaszcza że w internecie jest tak wiele treści?

W czasach pandemii Covid-19 należałoby raczej mówić, że istnieje internet – a reszta świata to dodatek do niego. Internet zmienił nasz sposób percepcji i postrzegania rzeczywistości do tego stopnia, że politycy dostosowali przekazywanie wiadomości sanitarnych

do reguł komunikowania się w sieci. Wszyscy przestawili się na pracę zdalną. Seriale i filmy fabularne także coraz bardziej korzystają z estetyki internetowej. Tymczasem my, osoby związane z profesjonalnym, tradycyjnym dziennikarstwem, czujemy się tak, jakby w naszym kierunku schodziła lawina, a my byśmy się zastanawiali, czy nas zmiecie. Błąd. Ona już nas przysypała. My pod tą górą śniegu, pod zalewem wiadomości prawdziwych i nieprawdziwych, jeszcze się drapiemy w głowę, jak sobie z tym radzić. Nie mówię tego bez powodu. W 2018 roku opublikowano w czasopiśmie „Science” wstrząsający raport Massachusetts Institute of Technology (MIT), który był głośny jedynie w pewnych kręgach, a powinien stać się przedmiotem edukacji szkolnej. To były bodaj najdłuższe i najdokładniejsze badania mediów społecznościowych od chwili ich powstania. Z raportu wynikało, że na jedną

”
Na każdym etapie edukacji szkolnej powinniśmy mieć coś w rodzaju interaktywnych zajęć, podczas których nauczyciele ćwiczą z uczniami np. krytyczne podejście do otrzymywanych wiadomości, zajęcia z logiki, krytyki źródeł. To można robić niezależnie od przekonań partyjnych

prawdziwą informację na Twitterze przypada sześć kłamstw, więc to nie są żarty. Propagowanie andronów i idiotyzmów odbywa się w stopniu lawinowym. I kiedy my próbujemy zastanawiać się nad jakąś kwestią, rozkładać ją na części pierwsze zgodnie z regułami sztuki dziennikarskiej czy naukowej, w międzyczasie wyprodukowano już tysiące czy miliony innych głupstw, kto wie, czy nie o poważniejszym znaczeniu. Wniosek?

Może się okazać, że ci, którzy próbują sobie poradzić z jednym fake newsem, popelniają błąd. Oto jest dramat tej sytuacji.

W takim razie jaka metoda byłaby dobra?

Żyjemy w medialnym pośpiechu, już nawet nie 24-godzinny wyznaczany przez telewizję informacyjne, ale sekundowy – z rytmem social mediów. Dlatego powinniśmy znaleźć rozwiązanie tu i teraz. I to natychmiast. Badania MIT są dobrym zaczątkiem do tego, by wziąć trzy głębokie wdechy i powiedzieć, że robimy, co możemy, w sytuacji, gdy dopiero rozpoznajemy konsekwencje nowych mediów dla demokracji. Na dodatek nowe media to jest stworzenie, które każdego dnia się zmienia. Z punktu widzenia obywatelskiego

należałoby wprowadzić poważne – nie mniej ważne niż lekcje języka polskiego – lekcje na temat nowych mediów. I to od najmłodszych lat edukacji. To by oznaczało, że trzeba przygotować coś w rodzaju dynamicznego przedmiotu. To nie może być czymś groteskowym, jak lekcje informatyki w niektórych szkołach średnich.

Ten przedmiot musiałby się szybko zmieniać, skoro narzędzia się zmieniają, musimy uczyć się je rozpoznawać. Jeżeli gromadzimy pewną wiedzę na temat tych narzędzi i prowadzimy mnóstwo badań socjologicznych dotyczących mediów społecznościowych, to dzieciaki powinny wiedzieć, jaką mamy w miarę rzetelną wiedzę na temat tych narzędzi. Jeśli z wielu poważnych opracowań dowiadujemy się, że w krajach o słabszej tradycji demokratycznej Facebook może po prostu zniszczyć tę demokrację, trzeba z tego wyciągać wnioski natychmiast. To nie są futurologiczne spekulacje, ponieważ to już się dzieje. Spróbujmy zaoferować polskim obywatelom pewnego rodzaju szczepionkę na e-rzeczywistość. I podkreślimy, że ten wirus rozprzestrzenia się szybko i szeroko – od zagrożeń dla demokracji aż po samobójstwa wśród młodzieży popełniane dlatego, że coś się wydarzyło w mediach społecznościowych. Oczywiście od razu pojawia się odwieczny problem: kto nauczy nauczycieli, jak tego uczyć. Ale nikt na świecie nie jest mądry. Trzeba zmienić optykę – nauczyciele musieliby wspólnie z dziećmi pracować nad kolejnymi tematami, choćby nad tym, jak weryfikować daną informację w wielu źródłach. Z pewnością można uczyć powściągliwości w wydawaniu ocen, sceptycyzmu, głównych reguł zachowania się w dżungli fakenewsowej.

Co zrobić, gdy do odbiorcy docierają informacje sprzeczne?

Pytanie, do którego pokolenia należy odbiorca. Młode osoby nierzadko oswoiły się z tym, że co chwilę ktoś próbuje im wcisnąć kit w sieci, ktoś kogoś udaje itd. Paradoksalnie niektórzy młodzi Polacy są nastawieni o wiele bardziej podejrzliwie do sieci niż starsze pokolenie, które wciąż ekscytuje się tym, jak można kłamać. Niemniej niezależnie od wieku odbiorcy ważna pozostaje wiarygodność danego nadawcy.

Polacy jako naród, który doświadczył cenzury w PRL-u, są bardziej ostrożni?

Nie wiem. To, co pani sugeruje, jest miłą dla naszego ucha interpretacją. Oznaczałoby, że w czasach cenzury

PRL-owskiej wyrobił się w Polakach nawyk, który można by spożytkować w nowych warunkach technologicznych. Nieufność do cenzury przy ulicy Mysiej 2 przełożylibyśmy zatem na nieufność do świata 2.0. Zbyt piękne, by było prawdziwe? W każdym razie pojawiają się interpretacje niemile dla naszego ucha. Ostatnio przy okazji 30-lecia upadku muru berlińskiego redaktor naczelny legendarnej gazety „Neue Zürcher Zeitung” Eric Gujer napisał, że doświadczenie komunizmu sprawia, iż postkomunistyczne kraje są bardziej podatne na fake newsy. Skoro przez ponad pół wieku społeczeństwa podlegały propagandzie komunistycznej, to się przyzwyczaiły – i nie ludźmy się, że jest inaczej. Jak pani widzi, doświadczenie lat 1944–1989 pan Gujer zinterpretował zupełnie inaczej. Wprawdzie on przede wszystkim nawiązywał do dawnego NRD, ale ostatecznie cały dawny blok wschodni wpadł do jednego worka.

Zatem odporniejsi są Polacy urodzeni po 1989 roku?

Najpierw powiedzmy, co to za pokolenie. To pierwsze pokolenie, które urodziło się i wychowało w suwerennym państwie. To trzecia dekada we własnym państwie, tego nie było od rozbiorów. Od XVIII wieku. To pokolenie, które powinno zatem wykuć sobie nowe podejście do ojczyzny. Tyle teoria. Bo do dziś w naszych głowach „oprogramowanie” jest stare. Program nauczania w szkołach jest dokładnie taki sam jak w czasach bez własnego państwa. Nasz kanon wygląda tak, jakbyśmy przygotowywali dzieciaki do powstań czy pracy organicznej w ukryciu. To mentalność okupacyjna, z której nie wyszliśmy. Software okupacyjny jest non stop reprodukowany w edukacji podstawowej i średniej. W dodatku mamy taką politykę, jaką mamy. A jednocześnie świat ostatnich 30 lat nie odpowiada temu software'owi. Tu jest ogromny rozróż.

Polska debata publiczna to fascynujące zadanie do odrobienia. Z jednej strony mamy pokolenie, które pamięta Polskę Ludową. Co to oznacza w 2020 roku? Gdy słyszy ono, że z powodu wirusa i pandemii będziemy zamykać obywateli w domu, to sobie w duchu mówi, że jak ktoś przeżył stan wojenny, to mu pandemia niestraszna. Z drugiej strony mamy młodego człowieka, dla którego to jest pierwsze ważne doświadczenie społeczne, pokazujące, że rzeczywistość, nawyki i zachowania można „zawiesić”, wręcz zakwestionować. Ale na ten temat nie ma debaty.

Czego w szczególności miałaby ona dotyczyć?

Od czasu wydania książki „Koniec pokoleń podległości” próbuję apelować o nowy software dla polskiej debaty publicznej, w której będziemy pracować nad tym, żeby nie kontestować swojego państwa. Jedną z najbardziej szkodliwych metafor w obiegu – i mówię to pomimo sympatii do Bartłomieja Sienkiewicza – jest owo „państwo teoretyczne”. To dramat, jak to określenie zeszło „pod strzechy”. Oczywiście padło na podatny grunt kontestowania państwa w ogóle, w ramach 200 lat naszej tradycji. W końcu państwo było obce czy półobce, w każdym razie nie nasze. I z tak wyuczonym oprogramowaniem wszyscy przyklasnęli, że tak, nareszcie ktoś powiedział prawdę, to państwo jest teoretyczne. Serce boli. W ramach takiej narracji wszelkie dokonania Polaków wydają się przecież śmiechu warte. Nikt nie poczuje satysfakcji, że coś mu się udało. Nikt nie umie nawet opowiedzieć o swoim drobnym dokonaniu w gminie czy dzielnicy, jak o sukcesie w ramach polskości, bo w ramach polskości to trzeba by wygrać powstanie czy tłuc „bibulę”. Proszę zauważyć, że przy takich kodach kulturowych wiarygodna wiadomość pochodzi z drugiego obiegu. Nie oznacza to wcale sięgania do wielu źródeł informacji. Przeciwnie, oznaczać może zaufanie do jednego źródła, tego uznanego politycznie za swoje. To są właśnie „dysydenckie korzenie” obecnej debaty politycznej w Polsce.

Co zatem należy zrobić w takiej sytuacji?

Po pierwsze, koniec z myśleniem, że zalew fake newsami oraz nadużycia w mass mediach to rzecz, która sama się rozwiąże. Nie, ona się sama nie rozwiąże. To jest zadanie dla państwa. Na każdym etapie edukacji szkolnej powinniśmy mieć coś w rodzaju interaktywnych zajęć, podczas których nauczyciele ćwiczą z uczniami np. krytyczne podejście do otrzymywanych wiadomości, zajęcia z logiki, krytyki źródeł. To można robić niezależnie od przekonań partyjnych. Po drugie, ważna jest aktywność obywatelska.

Sami obywatele powinni zrozumieć, że nic się samo nie załatwi. My, Polacy, mamy pewne nawyki, które przeszkadzają nam w rozwiązywaniu istotnych problemów. Powiedzmy to jak najprościej: gdy w amerykańskim serialu pojawia się taki problem, to nikt nie mówi na wstępie, że żyje w „państwie teoretycznym”, pomimo że tam są naprawdę nieliczne problemy – czy to z segregacją rasową czy przestępczością. Ten amerykański bohater próbuje brać sprawy w swoje ręce i do roboty. To jest kulturowe oprogramowanie, nad którego zmianą u nas

powinniśmy pracować. Wielkim optymizmem napawa mnie to, że na YouTube piętnuje się błędy popełniane przez nauczycieli w ramach telewizji edukacyjnej, która powstała w czasach pierwszej fali Covid-19. To jest przykład walki z fałszywymi wiadomościami. Wobec lawiny fake newsów obywatele sami robią fact-checking. I pro bono różne osoby wytykają błędy nauczycielom. Słusznie. Bo jak możemy robić takie rzeczy małym Polakom? Np. niepoprawnie uczyć ich języków obcych? Przecież chodzi o nasze przyszłe pokolenia. I to jest znakomity przejaw oddolnej aktywności społecznej. Dlatego warto zachęcać do aktywnej działalności. Trzeba dawać nagrody osobom, które są już aktywne, które prowadzą taki fact-checking obywatelski.

Bo przy sześciu kłamstwach na jedną prawdziwą informację na Twitterze nasze grono dziennikarzy z „Kultury Liberalnej” i „Rzeczpospolitej” razem wziętych jest za małe, żeby zmierzyć się z lawiną kłamstw, która co minutę wylewa się z internetu. ■

REGUŁA 4. Notka na platformie społecznościowej to nie jest wiarygodne źródło

Jak plotki stały się groźne

**Gdy informacje docierają do nas od znajomych przez media społecznościowe,
nie zapala się czerwona lampka, nie mamy nawyku zastanawiania się,
czy to, co czytamy, jest prawdą – mówi JACEK WASILEWSKI**

Jakie czynniki wpływają na to, że użytkownicy platform społecznościowych wierzą w treści tam publikowane?

Większość naszych rozmów składa się z różnego rodzaju plotek. Czasami to są miłe plotki, czasami niemiłe. Plotki służą różnym celom, na przykład stwarzają możliwość dzielenia się tajemnicami, a dzielenie tworzy bliskość. Druga ważna kwestia – plotki stwarzają wspólnotę wartości. Razem czujemy się lepsi, gdy powiemy, że ktoś zrobił coś złego i jest od nas gorszy. Tak działa np. Pudelek czy portale sportowe, pełne docieków dotyczących potencjalnych transferów piłkarzy i sum, jakie są w stanie za nich zapłacić kluby. Ponadto plotki mogą tworzyć konstrukcje, które pozwalają nam zrozumieć świat.

Problem się pojawia, kiedy zaczynamy przenosić się do mediów społecznościowych. Plotki zaczynają szkodzić, bo są traktowane jak informacje. Na Facebooku piszemy do swoich znajomych, nie ustawiając odpowiedniej prywatności postów. Gdy rozmawiamy w realu, treść rozmowy pozostaje między znajomymi. W sieci dzielenie się takimi informacjami przybiera efekt domina. Gdy wybuchła pandemia, pojawiło się wiele fake newsów. Na przykład od znajomej ciotki wiemy, że jak będzie lockdown, to zamkną miasta, a kolega przesłał nam filmik od znajomego, który pracuje w jednym z ministerstw i wie, że wojsko wyjdzie na ulice... Im większe informacja wzbudza emocje, tym bardziej jesteśmy w stanie w nią uwierzyć. Zwłaszcza jeżeli się czegoś boimy albo chcemy się przed tym uchronić.

Skąd ta lekkomyślność?

W przypadku Facebooka informacje docierają do nas od znajomych i nie zapala się czerwona lampka. Gdybym



BARTŁOJĘK

JACEK WASILEWSKI – medioznawca, doktor habilitowany nauk politycznych, dziennikarz

usłyszał to samo w mediach, zacząłbym się zastanawiać, kto ma interes w tym, żeby prezentować takie treści. Albo pomyślałbym, czy to jest na pewno prawda, albo że media kłamią jak zwykle. Natomiast w przypadku, gdy mówi nam to osoba zaufana, znikają te naturalne bariery. Wtedy nie mamy nawyku sprawdzania albo zastanawiania się, czy informacja jest prawdziwa. Bo przecież gdy znajomy częstuje nas obiadem, nie sprawdzamy daty ważności mięsa. I w ten sposób rozsiewają się fake newsy. Gdy na fałszywą stronę natknie się nasz znajomy i poda nam link do niej, często traktujemy ją jak wiadomość od przyjaciela, a nie jako podaną dalej wiadomość z fałszywego źródła.

Ważne jest również, jak w takiej sytuacji działają emocje. W 2019 roku prowadziliśmy w Laboratorium Badań Medioznawczych UW badania, jak lubienie lub

nie lubienie polityków wpływa na to, że zgadzamy się lub nie z tym, co te osoby mówią, czyli jaki jest wpływ autora tekstu na jego recepcję przez odbiorców. I tak wielu badanych podpisałoby się pod anonimowymi wypowiedziami, chętnie się z nimi zgadzali, natomiast gdy podawaliśmy nazwisko polityka jako jej autora, wtedy zmieniał się odbiór cytatu. Skoro wiemy, że tak jest, to naturalne będzie zgadzanie się ze znajomymi, których lubimy i którym ufamy. Mechanizm ten działa podobnie w przypadku fake newsów.

Bardzo niebezpieczne jest traktowanie Facebooka jako jedyne źródła informacji. W takiej sytuacji są Filipińczycy. Facebook zaangażował się na Filipinach w rządowy projekt, który miał poprawić szybkość internetu. To sprawiło, że korzystanie z sieci jest bezpośrednio związane z używaniem aplikacji. W 2018 roku wybuchła tam afery związana z zamykaniem opozycyjnego pisma – poprzez Facebooka rozsielane były plotki o rzekomych negatywnych działaniach gazety. Trudno jest przeciwdziałać takim sytuacjom, bo dzieją się bardzo szybko. Poza tym inna jest odpowiedzialność mediów tradycyjnych, a inna w sytuacji dzielenia się informacjami w social mediach. W przypadku błędnych informacji w gazecie można wystąpić o sprostowanie – dziennikarz i redakcja biorą odpowiedzialność za słowa. W przypadku tzw. walla nie traktujemy osoby rozpowszechniającej informację jako dziennikarza. Trudno to sprostować, trudno to zatrzymać. Właściwie jedyną pieczę sprawuje nad tym Facebook, który może takie rzeczy blokować, ale dopiero po czasie, kiedy do moderatorów dotrą zgłoszenia od użytkowników. A to może prowadzić do sytuacji, w której fake newsy doprowadzają do dużych zmian.

Tak dzieje się na całym świecie, zwłaszcza w krajach, gdzie nie było etapu korzystania z komputerów stacjonarnych i użytkownicy zaczęli korzystać z internetu od razu przy użyciu telefonów komórkowych. Informacje za pomocą aplikacji rozprzestrzeniają się nie przez zaufane strony, lecz przez znajomych, i to oni filtrują nam rzeczywistość. Ludzie nie są przyzwyczajeni, żeby korzystać z różnych źródeł. Kiedyś była jedna czy druga

gazeta, ewentualnie jeszcze telewizja. Dzisiaj mamy taką dysocjację informacji, że trudno jest wyrobić sobie zdanie. W social mediach pojawia się coraz więcej nieistniejących znajomych, dziwnych i wirtualnych podmiotów, które robią tłok i zasypują nas informacjami, często zmyślonymi.

Jak rozpoznać informację zmyśloną?

Z tego, co wiem, Facebook przygotował poradnik o fake newsach dotyczących koronawirusa. I tam pojawiło się kilka zaleceń. Po pierwsze, aby zwracać uwagę na wygląd, ponieważ bardzo często newsy fałszywe mają tabloidowe, skupiające uwagę nagłówki, aby stać się viralami. Po drugie, fake newsy często cytują fałszywe strony, imitujące prawdziwe media. Takie podejrzane strony możemy rozpoznać przez dziwne

URL-e. Jeżeli na przykład zero zostaje zastąpione literą „o”, to wskazuje, że taka strona podszywa się pod inną, która jest wiarygodna. Trzecia rzecz, na którą zwraca uwagę sam Facebook, to niespójność. W fake newsach pojawiają się literówki, problemy z datami czy z opisem historii, która jest podawana. Te znaki sygnalizują nam, że coś w tym poście jest nie w porządku. Dlatego ważne, by zwracać uwagę na takie detale – nawet jeśli przesyła je nam znajomy. Ważna jest także kwestia porównania

z innymi źródłami. Jeżeli ktoś podaje np. informacje, które mają pochodzić ze Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), to ważne, żeby wejść na stronę WHO albo Ministerstwa Zdrowia i sprawdzić, czy to prawda.

Jak nauczyć się czujności i nie dać się złapać w pułapkę fake newsów?

Problem związany z Facebookiem jest taki, że trudno się tej czujności nauczyć, ponieważ dotyczy zaufania do znajomych. Dopiero gdy poziom niespójności przybiera podejrzane rozmiary, zaczynamy mieć wątpliwości, zaczynamy drażnić... Należy badać wiarygodność tych danych, czyli np. jeżeli pojawia się opinia eksperta, to

”

Gdybym usłyszał jakąś informację w mediach, zacząłbym się zastanawiać, kto ma interes w tym, żeby prezentować takie treści. Albo pomyślałbym, czy to jest na pewno prawda, albo że media kłamią jak zwykle. Natomiast gdy mówi nam to osoba zaufana, nie mamy nawyku sprawdzania albo zastanawiania się, czy informacja jest prawdziwa

powinien być on wymieniony z imienia i nazwiska oraz afiliacji. Wydaje mi się jednak, że gdy nauczymy się odróżniać proste wiadomości rozchodzące się wirusowo, wtedy one będą coraz bardziej skomplikowane. Walka z wirusami informacyjnymi wygląda podobnie jak walka z wirusami biologicznymi: one mutują.

Trzeba pamiętać, że mamy do dyspozycji strony fact-checkingowe, również po polsku. Istnieją organizacje, które weryfikują podejrzone informacje. Gdy rozchodzą się one na zasadzie „podaj dalej”, warto sprawdzić źródło, od kogo pierwotnie taka informacja wyszła. Sposobem, by się na to uodpornić, jest korzystanie z zaufanych źródeł, które najczęściej są treściami płatnymi – za paywallem rzadziej stoją fake newsy. Warto mieć parę wybranych i zweryfikowanych źródeł, najlepiej takie, gdzie istnieje pewna struktura sprawdzania. Gdy nagle pojawi się informacja mówiąca o jakichś ekspertach, którzy odkryli, że w kranach jest trucizna, to oczywiście możemy przestać pić wodę i kupować tę w baniakach, ale dobrze byłoby najpierw sprawdzić, czy i co o tym piszą gdzie indziej.

A na co powinniśmy uważać, gdy stajemy się nadawcami pewnych informacji, gdy np. opisujemy historię, której byliśmy świadkami, którą chcemy się pochwalić, a nieświadomie możemy przeinaczyć fakty?

Ważne są dwie kwestie. Po pierwsze, czy działamy w dobrej wierze, bo jeśli chcemy uchronić swoich znajomych np. przed piciem zatrutej wody, to wierzymy, że to, co mówimy jest prawdą, więc nie kłamiemy. Myślę, że dużo większym zagrożeniem jest rozpowszechnianie informacji, które mogą komuś zaszkodzić, czyli np. takich, które dotyczą czyichś dóbr osobistych. Wtedy powinniśmy dwa razy się zastanowić, czy możemy rozpowszechniać takie informacje, czy jesteśmy do tego uprawnieni. Wszystko, co dotyczy sfery ludzkiego życia, powinno być opatrzone czerwoną lampką. Jeżeli nie jesteśmy specjalistami od pewnych informacji, należy się zastanowić, czy powinniśmy je rozpowszechniać.

Dzisiaj plotki funkcjonują w świecie wirtualnym, ale one same w sobie niczym nowym nie są. Nie uważam, że liczba tych wiadomości jest teraz przerażająco wielka. Ona zawsze była taka sama. Istotne tylko jest to, że dzisiaj taka informacja może destabilizować dużo większe grupy ludzi niż kiedyś

Podawanie dalej jakiejś informacji, najczęściej dziwnej, świadczy o pewnej naiwności i w takich sytuacjach powinniśmy kierować również poczuciem wstydu. Gdy okaże się, że kilkakrotnie udostępniliśmy fake newsa, możemy być spaleni w naszym kręgu znajomych i nikt nie będzie poważnie traktował informacji, które podajemy. Jeżeli chcemy zachować wiarygodność, musimy strzec się przed impulsem i nie udostępniać wszystkiego, co nam się rzuci w oczy.

Było wiele eksperymentów facebookowych, ale też gazetowych, które pokazywały, że ludzie nie czytają artykułów do końca, czyli czytają nagłówki, lead, i oceniają, że wiedzą, o czym jest artykuł. Zatem jeżeli coś udostępniamy, to przynajmniej przeczytajmy to do końca, bo może się okazać, że to jest satyra, którą potraktowaliśmy na poważnie, co się często zdarza. Jeszcze jedną ważną rzeczą jest wyszukiwarka zdjęć. Często bywa, że fake newsy mają albo zmanipulowane zdjęcia (i wtedy w wyszukiwarce możemy porównać z innymi podobnymi zdjęciami, które byłyby prawdziwe), albo używają starych, nieadekwatnych zdjęć.

Jak te mechanizmy działają na platformach, gdzie mamy do czynienia z obcymi, anonimowymi ludźmi, np. na forach internetowych czy na YouTube? Czy tam użytkownicy są bardziej czujni i świadomi?

Nie jesteśmy bardziej czujni, ponieważ takie platformy jak YouTube traktowane są jako źródło rozrywki. Gdy coś oglądamy dla rozrywki, nie zastanawiamy się nad celem przekazu, tylko przyjmujemy informację. Większość tego rodzaju treści oglądamy na telefonie komórkowym, w poczekalni u lekarza, w autobusie czy zerkając szybko podczas chwilowej przerwy. W takich sytuacjach często nie jesteśmy w stanie wykryć kłamstw. Zwłaszcza gdy oglądamy w sposób szybki, nieuważny, przyspieszony, nastawiony na rozrywkę, wtedy szansa, że będziemy rzeczywiście nastawieni sceptycznie, jest znikoma. Dlatego jesteśmy bezradni w stosunku do YouTube'a i deep fake'ów. Jeżeli ktoś nie

jest w stanie czytać metadanych, czyli nie jest w stanie spojrzeć, skąd pochodzi film, czym jest on opatrzony, to taka osoba jest bezbronna. Powinniśmy raczej stworzyć system, który chroni przed takimi zjawiskami. Nie mówię, że nie należy uczyć się tej obrony, ale mrzonką jest mieć nadzieję, że przejdziemy jakieś szkolenie i nigdy nie damy się oszukać.

**Nadmiar informacji w dużej mierze
fałszywych może sprawić, że ludzie odejdą
z platform społecznościowych i będą
próbować powrócić do źródeł sprawdzonych,
do mediów tradycyjnych?**

Nie jestem przekonany, że kiedykolwiek ludzie byli racjonalni i szukali informacji w wiarygodnych źródłach. Zawsze były różnego rodzaju fałszywki, zawsze była grupa „płaskoziemców”, która wolała wiadomości z drugiej ręki, które wydawały się mniej dostępne, takie, które nie były znane wszystkim. Media społecznościowe są remedium na wyizolowanie. Zwykle w wiosce żyło około 150 osób i to jest mniej więcej liczba kontaktów w naszej książce telefonicznej; grupa osób, z którymi się kontaktujemy. Dzisiaj, gdy nasze „wioski” są bardziej rozległe, a nasi przyjaciele mieszkają coraz dalej, tym bardziej potrzebujemy mediów społecznościowych czy forów, żeby mieć kontakt z tą grupą ludzi, z którymi kiedyś spotkalibyśmy się na rynku, na polu albo przy studni. Dzisiaj plotki funkcjonują w świecie wirtualnym, ale one same w sobie niczym nowym nie są. Nie uważam, że liczba tych wiadomości jest teraz przerażająco wielka. Ona zawsze była taka sama. Istotne tylko jest to, że dzisiaj taka informacja może destabilizować dużo większe grupy ludzi niż kiedyś. Mimo że my żyjemy w 150-osobowych grupach, to informacje są dostępne dla wielu setek innych grup. A to może spowodować, że zarażenie się bzdurą czy bujdą będzie miało fatalne skutki dla o wiele większej liczby osób niż kiedyś. ■

REGUŁA 5. Jeśli nie identyfikujesz źródła, nie powtarzaj newsa

Wyjść ze swojej bańki

**Każdy myślący człowiek, bez względu na to, czy źródło jest podane czy nie,
powinien porównywać informacje, szukać ich potwierdzenia**

– mówi DOROTA GAWRYLUK

Dlaczego jest ważne, by wiedzieć, skąd pochodzi informacja i kto jest jej nadawcą?

Powinniśmy wiedzieć, kto jest nadawcą informacji, by móc stwierdzić, czy jest ona prawdziwa. Jeżeli nie znamy źródła, to nie wiemy, kto ją stworzył, a jeżeli nie wiemy, kto ją stworzył, nie znamy jego intencji i nie jesteśmy w stanie jej zweryfikować, ponieważ nie wiemy, do kogo zadzwonić, by ją sprawdzić. Ponadto informacje musimy potwierdzać także w innych źródłach. Bez znajomości źródła weryfikacja nie jest możliwa, wtedy możemy się jedynie zastanawiać, co to za informacja, i podchodzić do niej tylko intuicyjnie. A intuicja to za mało, gdy mowa o dziennikarstwie informacyjnym. W przypadku dziennikarzy informacyjnych źródło jest kwestią podstawową.



DOROTA GAWRYLUK – dziennikarka i prezenterka telewizyjna, dyrektor pionu informacji i publicystyki telewizji Polsat

A w przypadku odbiorców?

Każdy inteligentny człowiek powinien poszukiwać. Poszukiwanie i porównywanie to podstawowa zasada bycia w świecie informacji, weryfikacji pewnych zdarzeń. Bez względu na to, czy źródło jest podane czy nie, trzeba porównywać informacje, szukać ich potwierdzenia. Istnieją oczywiście informacje, co do których nie ma wątpliwości, one są powielane przez media i nikt nigdy nie powiedział, że są nieprawdziwe. Gdy zaś informacje wydają się podejrzanе, wtedy warto się zastanowić, na ile one są rzetelne. To wszystko jest opisane w prawie prasowym.

Wydaje mi się, że zastanawiając się nad źródłami czy fake newsami, wyważamy otwarte drzwi. Gdy zostałam szefem Polsatu News, zaczęłam swoją pracę od wydrukowania wszystkim, również sobie, prawa prasowego. To jest – skoro mówimy o przy-

kazaniach – biblia dziennikarstwa. Tam to wszystko, o czym rozmawiamy, jest opisane: źródło informacji, weryfikacja. By być pewnym tego, co się przekazuje, by dochować należytej staranności w zbieraniu informacji, należy ją zweryfikować w więcej niż jednym źródle. Często nam, dziennikarzom, próbuje się wmawiać, że nie podaliśmy prawdziwej informacji, i musimy się bronić w sądach. Podczas procesu sędzia bada, czy dziennikarz dochował należytej staranności w zbieraniu i weryfikacji źródeł. To jest podstawowa zasada.

**Jak profesjonalna redakcja weryfikuje
informacje przesyłane przez widzów na
gorąco, często z miejsca zdarzenia?**

Zależy, o jaką informację chodzi. Jeżeli dotyczy ona wybuchu pożaru, zdarzenia drogowego, jest to odnotowane także w innych źródłach, np. w policji czy straży pożarnej. Dzwonimy i potwierdzamy informację, a nasz reporter jedzie na miejsce zdarzenia. Nie podajemy takich informacji na zasadzie „jak donoszą nasi widzowie”. Dopiero gdy wiemy na pewno, że coś się wydarzyło, możemy to publikować. Często jest tak, że ktoś nam coś przekazał i chciałoby się to od razu podać, ponieważ telewizja informacyjna musi być szybka, to jej istota. Miałam wiele takich przypadków, że tuż przed „Wydarzeniami” pojawiła się jakaś ważna informacja. Pamiętam, że raz dotyczyła ona śmierci ważnej osoby ze świata kultury. Czekałam na potwierdzenie, bo choć informacja pochodziła z Polskiej Agencji Prasowej, to jednak tylko wciąż z jednego źródła. Bo co, jeżeli podamy informację dla kogoś istotną i ona okaże się nieprawdą? Ileż to razy wypuszczano wiadomości o czyjejs śmierci, a potem okazywało się, że – jak mówi literatura – „informacje o mojej śmierci okazały się przesadzone”.

Jak mówić, by być prezydentem, reporterem wiarygodnym i uczciwym?

Jesteśmy ludźmi i dziennikarz też powinien wczuwać się w informację. Nie jesteśmy robotami, które tylko odczytują newsy, przekazują informacje bez emocji, bez filtra osobowościowego. Bardzo potrzebna jest uczciwość w podejściu do prezentowania informacji. Często patrzę na aktorów, którzy są dziennikarzami, i wydaje mi się, że oni robią to dobrze dlatego, że potrafią zagrać pewne rzeczy. Trzeba odpowiednio dobierać i tonować emocje. Nie wyobrażam sobie w dziennikarstwie informacyjnym nadmiernego epatowania emocjami, podgrzewania atmosfery, gdy dzieją się rzeczy straszne. Telewizja jest skomplikowana. Jest publicystyka, gdzie osobowość prowadzącego jest istotna. Natomiast gdy chodzi o przekazywanie informacji, jestem zwolenniczką podejścia rzetelnego, spokojnego, merytorycznego. Jak przy przechodzeniu przez pasy: miarowym, nie za wol-

nym, ale i nie za szybkim krokiem, by wszystkim umożliwić spokojny ruch i być niekolizyjnym.

Możliwe jest przedstawianie faktów bez nawet cienia opinii, interpretacji?

Tak, to możliwe, czysta informacja na pewno istnieje. Taka powinna ona być w dziennikarstwie informacyjnym. Na studiach dziennikarskich wykładowcy uczą, jak w sposób rzetelny buduje się informację. Należy przekazywać je od najważniejszego do najmniej istotnego szczegółu: co się wydarzyło, gdzie się wydarzyło, dlaczego się wydarzyło. Przy tym z „dlaczego się wydarzyło” może być najwięcej problemów, ponieważ tu wkracza opinia, ale wtedy można pokazać różne punkty widzenia. Czysta informacja to dążenie do ideału, bo na pewno może pojawić się pewnego rodzaju zabarwienie emocjonalne czy naznaczenie przekazu swoją osobowością, doświadczeniem.

”
Każdy inteligentny człowiek powinien poszukiwać. Poszukiwanie i porównywanie to podstawowa zasada bycia w świecie informacji, weryfikacji pewnych zdarzeń. Bez względu na to, czy źródło jest podane czy nie, trzeba porównywać informacje, szukać ich potwierdzenia

A jak radzić sobie z kłamstwami, półprawdami polityków? Jak chronić przed tym odbiorców np. w programach na żywo?

Zależy, czy to jest kłamstwo, półprawda czy opinia, z którą trudno dyskutować. Gdy to jest kłamstwo, to oczywiście na bieżąco należy je prostować. Gdy np. ktoś mówi, że wzrost PKB w tym roku jest na poziomie X, a jest zupełnie inaczej, wystarczy zapytać, z jakiego źródła ta osoba korzystała, bo inne źródło mówi coś zupełnie innego. To nie jest wielki problem. Często zdarza się, że prostujemy może nie tyle kłamstwa, ile coś, co wynika z niewiedzy, braku informacji. Nie podchodzę do tego w ten sposób, że to jest od razu kłamstwo, że cała polityka składa się z kłamstwa, że wszyscy kłamią. Polityka to brutalna gra i wiadomo, że stosuje się również chwyt poniżej pasa.

Trudno natomiast jest dyskutować z opiniami. Każdy ma swoją i często jest do niej przywiązany. Sztuka polega na tym, żeby tak konfrontować opinie,

by osoby w studiu mogły się do tego odnieść, a widz miał całe spektrum sytuacji. Jeżeli polityk X mówi o pewnym spojrzeniu na jakąś sprawę, to absolutnie trzeba pokazać też inne spojrzenie, aby odbiorca mógł to porównać. Taka jest nasza rola. Często słyszę dziennikarzy, którzy siedzą i potakują, ale to nie jest wygodna sytuacja nawet dla polityków, bo każdy człowiek potrzebuje jakiegoś zderzenia, żeby wydobyć z siebie więcej, żeby dokonać wysiłku intelektualnego. Monolog i wystąpienia to zupełnie inny typ programu.

W jakiej kondycji, jeżeli chodzi o wiarygodność, są polskie media?

Cieszę się, że żyję w kraju, w którym jest tyle mediów, tyle stacji telewizyjnych, radiowych, tyle gazet, że ciągle jeszcze mogę czytać dzienniki w wersji i elektronicznej, i papierowej. Ta różnorodność jest dla mnie ważna, zawsze mi tego brakowało. Pamiętam dziennikarstwo w różnych fazach podczas ostatnich 30 lat i nigdy nie było takiej różnorodności. Zawsze tęskniłam za możliwością wymiany i zderzenia opinii i pod tym względem moje marzenia się spełniły.

Ale wiadomo, że gdy spełniają się marzenia, to czasami pojawiają się problemy. Na przykład spora część dziennikarzy uwierzyła, że są twórcami świata. Kreują świat informacji, chcieliby budować go pod swoje wyobrażenie i angażują się w politykę. Często chcą wyjść ze swojej roli. Jeżeli czują taką potrzebę, to powinni pójść do polityki, i tak się zdarza. Natomiast jeżeli się na to nie decydują, a udają, że to, co robią, jest dziennikarstwem, wtedy pojawia się problem.

Winni są nie tylko dziennikarze, ale także politycy, którzy często używają ludzi mediów do swoich celów. To problem nie tylko Polski, ale całego świata. Wynika on również z faktu, że część dziennikarzy uważa, że postępują w taki sposób dla dobra ogólnego, bo uważają, że partia X jest lepsza od partii Y. Dlatego należy wiedzieć, kto jest kim, jakie poglądy

”

Nie należy być przywiązanym do jednego źródła. Trzeba wyjść ze strefy komfortu bycia w bańce informacyjnej podawanej przez jedno źródło. Konfrontować informacje w innych mediach. Być otwartym, mieć otwarty umysł i trochę nie dowierzać, nie przyjmować wszystkiego tak po prostu

reprezentuje. Osoby, które nie mają takiej świadomości, mogą przyjmować pewne opinie jako obiektywne i rzetelne, nie wiedząc, co się za nimi kryje, że ktoś jest tylko narzędziem albo po prostu oszukuje.

To jest jednak problem każdego towaru, nie tylko informacyjnego. W każdej branży pojawiają się podrobki, udawanie i oszustwo. Wydaje mi się, że widzowie i czytelnicy o tym wiedzą

i – mówiąc językiem marketingowym – sięgają po sprawdzone produkty.

Czy fake newsem możemy nazwać zmanipulowane przedstawienie danego faktu? Przykładem może być odmienne relacjonowanie przez dziennikarzy TVN i TVP wizyty Jarosława Kaczyńskiego na cmentarzu zamkniętym w kwietniu 2020 roku z powodu pandemii?

W tym przypadku pojawił się problem manipulacji od początku do końca. Pojawiła się informacja, że Jarosław Kaczyński złamał prawo, wchodząc na cmentarz, a to była nieprawdziwa informacja. Dziennikarze tego nie sprawdzili. Na podstawie jedynie obrazków poinformowali, że prezes nielegalnie wdarł się na cmentarz. Tego przypadku nie da się obronić.

Jakie zagrożenia niosą fake newsy? Jakie konsekwencje czerpania informacji z niesprawdzonych źródeł może ponieść odbiorca?

To zależy od tego, jaki to odbiorca, gdzie mieszka, ile ma lat, jak jaka jest jego kondycja fizyczna, psychiczna itd. Ale jeżeli nie weryfikuje się informacji, skutki tego mogą być zawsze bardzo złe. Na podstawie takich informacji podejmuje się często nawet życiowe decyzje. Jak chociażby w odniesieniu do koronawirusa. Dlatego tak ważne jest weryfikowanie informacji. Nie tylko denerwowanie się, że ktoś produkuje fake newsy, nie tylko protestowanie,

ale praca u podstaw, czyli docieranie do informacji i jej przekazywanie tak, żeby odbiorca mógł wyrobić sobie na ich podstawie własne zdanie.

Z samych nerwów nic nie wynika, a budzą niepotrzebne emocje, postępującą nienawiść jednych do drugich i podział. Ludzie ze sobą nie rozmawiają, utwierdzają się w swoich przekonaniach na podstawie często niesprawdzonych informacji, a gdy dochodzi do rozmowy, pojawiają się tylko wyzwiska. Ważna jest też gotowość uznania argumentów po zweryfikowaniu informacji – jedni potrafią je przyjąć, inni nie. Ale często jest tak, że gdy przedstawia się argumenty, wielu ludzi jest w stanie się do nich przekonać. Wierzę, że rzeczowa rozmowa i argumenty mogą wiele zdziałać.

Jak sprawić, by odbiorcy nauczyli się świadomego odbioru informacji? Jak brzmi złota rada na fake newsy?

Nie należy być przywiązany do jednego źródła. To tak, jak w naszej pracy, czyli po prostu weryfikować, czytać jak najwięcej. Wyjść ze strefy komfortu bycia w bańce informacyjnej podawanej przez jedno źródło. Konfrontować informacje w innych mediach. Być otwartym, mieć otwarty umysł i trochę nie dowierzać, nie przyjmować wszystkiego tak po prostu. ■

REGUŁA 6. Jeśli news wydaje ci się nieprawdopodobny, to pewnie tak jest

Show wypiera debatę

Obrazy służą do zabawy. To największe niebezpieczeństwo w kontekście fake newsów. Odbiorcy przestaną się zastanawiać, czy obraz, który widzą, jest prawdziwy czy nie, ważniejsze będzie, czy przyciąga uwagę. Rozgraniczenie na prawdę i fałsz przestanie być istotne i potrzebne

– mówi PROF. WIESŁAW GODZIC

Dlaczego nadawcy tworzą nieprawdopodobne fake newsy? Do kogo takie komunikaty trafiają?

Nieprawdopodobieństwo wydaje mi się kategorią najbardziej chwiejną. Tak naprawdę mało wiemy o tym, co jest nieprawdopodobne. To zależy od kultury, od stopnia zaufania do władz. Coś nieprawdopodobnego, niejasnego jest czymś ogromnie ciekawym. Przez lata informowano nas np. o wielkich pszczołach azjatyckich, które przylecą do Europy. W istocie tych owadów nie było i to był fake news. Jednak pojawia się pytanie: skąd odbiorcy mogą o tym wiedzieć? W przypadku tej historii rzeczywiście po pół roku pojawiły się jakieś duże szerszenie, o czym mówią różne źródła naukowe. Zatem wynika z tego, że aby wiedzieć dokładnie, co jest prawdopodobne, a co nie, należałoby być ekspertem w każdej niemal dziedzinie, znać biologię, branżę IT itd. Dlatego w rzeczywistości jesteśmy bezbronni. Odbiorcy nie wiedzą, komu ufać.

Umberto Eco pisał, że trudno mu zaufać komuś, więc ufa niektórym instytucjom. Wierzył wydawnictwu Bompiani, a innym nie. Twórca „Teorii semiotyki” stworzył listę instytucji, którym ufał, ponieważ nie miał możliwości, by sprawdzić każdą z nich. Trzeba wybierać. Chodzi o intencjonalność, o to, czy my jako odbiorcy wierzymy danemu nadawcy. Fake news jest problemem odbiorcy – tego, czy wierzy i komu wierzy.

Swego czasu byłem na stypendium w Norwegii i byłem świadkiem dyskusji o tym, czy w tym kraju nie należy zastosować cenzury wobec amerykańskiego serialu „Z Archiwum X”, choć jest on znany i popularny. Okazało się, że Norwegowie chcą go wycofać z tego samego powodu, z jakiego Polacy go lubią – ponieważ pokazuje, w jaki sposób władza stosuje pewne kruczki



WIESŁAW GODZIC – medioznawca i filmoznawca, socjolog, wykładowca Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, zajmuje się teorią filmu i mediów audiowizualnych oraz problematyką nowych mediów, w tym internetu

i działa poza uwarunkowaniami prawnymi. Norwegowie uważają się za praworządny naród, wybrali władzę po to, by ich strzegła, i ponieważ jej wierzą, nie życzą sobie, by podważano jej autorytet. To przykład na to, że musi pojawić się ogólna mapa tego, w co wierzymy, a w co nie, na jaki temat mamy wiedzę, a na jaki nie. Podobnie jest z zaufaniem do gazet i dziennikarzy – jednym odbiorcy wierzą, innym nie.

Nasza wiedza jest postmodernistyczna – trochę przesadzamy, nie wierzymy wielu klasycznym instytucjom. Warto się zastanowić, czy taka wiara jest stopniowalna, czy w ogóle fake news jest stopniowalny, czy jest to raczej podział zero-jedynkowy. Nie radzimy sobie z tym, ponieważ nie wiemy, komu wierzyć. Na pewno

nie wszystkim dziennikarzom. Ja im wierzę, ale gdy któryś z nich zrobi błąd, następnym razem wyda mi się niewiarygodny.

Zdjęcia, filmy są źródłem, któremu można ufać bardziej niż tekstom?

W dobie prostytucji obrazów – jak określają to Francuzi – nie wierzymy im, ponieważ wiemy, że aby stworzyć prawie każdy obraz, potrzeba jedynie odrobiny czasu i umiejętności. Obrazy uległy presji, są do wynajęcia, niemal każdy może ich używać, nieważne w jaki sposób. W tym kierunku rozwijają się aplikacje, z których wszyscy korzystają. Popularny w tej chwili TikTok pozwala na stworzenie 15-sekundowego filmu i nawet pan prezydent w powodzi spraw do załatwienia może taki film nagrać. Jesteśmy mistrzami szybkości, wszystko zmierza ku temu, by obrazy trwały krótko. W ciągu 15 sekund nie ma możliwości oceny wartości nagrania w kategorii prawda–nieprawda, ponadto odbiorcy nie chcą się nad tym zastanawiać. Przy prędkości, z jaką w dzisiejszych czasach docierają do nich treści, odbiór nie opiera się na kategorii prawda–nieprawda. Takie obrazy proponuje nam zresztą współczesna ikonosfera. Kryterium prawda–nieprawda staje się niepotrzebne. Obrazy służą do zabawy, fascynacji. To jest największe niebezpieczeństwo w kontekście fake newsów. Zresztą kategorii tej niedługo nie będzie, ponieważ nazwanie czegoś prawdą bądź fałszem stanie się trudne, a dla odbiorców i tak nie będzie miało znaczenia. Przestaną się oni bowiem zastanawiać, czy obraz, który widzą, jest prawdziwy czy nie, ważniejsze będzie, czy przyciąga uwagę, jest interesujący.

To oznacza, że w przyszłości nasza rzeczywistość będzie fałszywa? Rzetelne informacje stracą znaczenie?

W latach 80. powstała książka na ten temat „Zabawiając się na śmierć” autorstwa Neila Postmana. Postman diagnozował w niej przyszłość, uznał, że ważny przede

wszystkim będzie show, atrakcyjność. Sam zajmuję się celebrytami i muszę powiedzieć, że to właśnie oni mają przyszłość. Wstydzimy się przyznać, że rozgraniczenie prawda–fałsz nie jest istotne. A jednocześnie wystarczy spojrzeć na teleturnieje, w których pojawiają się pytania dotyczące wiedzy nieprzydatnej większości ludzi.

Tu pojawia się rola mediów, bez których wiele osób nie zobaczyłoby nigdy pewnych rzeczy, np. programów przyrodniczych. To siła telewizji, która nie promuje jedynie płytkich treści. Tak więc nie można uznać, że telewizja jest głupia w całości, ale w znacznej części jednak tak. Wspomniane wyżej teleturnieje wygrywają ci, którzy wiedzą, jaka jest wysokość bramki hokejowej lub kto gra trzeciorzędą rolę w drugorzędnym filmie.

W tym przodują Amerykanie. To część ich rodzimego ich życia. I coraz bardziej lokalnego, narodowego, a nie uniwersalnego, globalnego. Już teraz na obce treści za-

mykają się Hindusi, tak samo Chińczycy będą mieli swoje filmy, a Europejczycy swoje. Skończy się czas silnego, globalnego przepływu informacji, każda z kultur zamknie się u siebie. Taki widzę świat w przyszłości: rozgraniczony, zatowiszony, odwracający się od spraw trudnych, to będzie świat łatwych rzeczy.

To oznacza wyparcie, a może śmierć informacji rzetelnej, trudnej?

Wyparcie nie, ponieważ należałoby mieć co wypierać. Będziemy mieć do czynienia ze wzruszeniem ramion – a jest ono stokroć gorsze od braku zgody. To nie będzie wyparcie polegające na decyzji „lubię to albo tamto”. Już teraz pojawia się w internecie wiele krótkich filmików, w których ludzie oceniają się nawzajem, a młodzi chwalą się swoimi nagraniami. Można powiedzieć, że będziemy mieli do czynienia z nieustannym kiczem, a nie będzie wzorca antykinowatego, czegoś głębokiego, refleksyjnego. Neil Postman miał chyba niestety rację, że te pojęcia znikną. Pojawi się ktoś, kto powie „mam 150 tysięcy followersów” i to stanie się dla odbiorców wartością estetyczną, bo skoro za kimś podąża tylu odbiorców, to treści, które tworzy, muszą być ciekawe.

”
**Fakty są nieistotne,
nie tyle zaprzeczamy im,
ile przepuszczamy przez osobisty
system przekonań.
Gdy walczymy z faktami,
to jeszcze jest nadzieja.
Ale gdy machamy na nie ręką,
przestają nam być potrzebne
– to jest najgorsze. Bo jak
w takim razie możemy rozróżnić
prawdę od nieprawdy?**

Wróćmy do teraźniejszości, jakie mechanizmy są wykorzystywane przez twórców fake newsów?

Powstaje mnóstwo filmów opatrzonych dopiskiem „oparty na faktach”. W wielu przypadkach jest tak naprawdę, ale zdarza się, że to nie jest prawda. Powstał niedawno artykuł ukazujący, w jaki sposób Martin Scorsese stworzył film o The Rolling Stones i ich wielkim tournée w latach 70. W tekście wskazano liczne nieścisłości w filmie, w produkcji jest błąd na błędzie, mowa nie o tych latach, nie o tych osobach. A przecież został on zrobiony przez wspaniałego reżysera. Okazało się, że Scorsese miał dostęp do wszystkich potrzebnych informacji, zatem najprawdopodobniej wyznaczył nową erę. Pokazał, że chcemy widzieć rzeczywistość przepuszczoną przez siebie.

Fakty są nieistotne, nie tyle zaprzeczamy im, ile przepuszczamy przez osobisty system przekonań. Gdy walczymy z faktami, to jeszcze jest nadzieja. Ale gdy machamy na nie ręką, przestają nam być potrzebne – to jest najgorsze. Bo jak w takim razie możemy rozróżnić prawdę od nieprawdy? Gdy mowa o Monty Pythonie, to odbiorca wie, że to zostało stworzone dla heci, że to rozrywka, wie, jak odebrać taki film. Ale by to wiedzieć, trzeba znać kontekst, historię powstania danej treści.

Jakie znaczenie ma tutaj mitologia, filmy science fiction? Czy przywykliśmy do treści nieprawdopodobnych tak bardzo, że zaczynamy je mieszać z prawdziwymi?

To jest siła popkultury. Były przypadki, że dzieciaki amerykańskie kładły się na liniach rozdzielających pasy autostrady, ponieważ widziały to w MTV. Ktoś skoczył z okna w stroju Batmana, bo szczerze wierzył, że gdy go nałoży, będzie potrafił latać. To jest pomieszane: prawdopodobne z nieprawdopodobnym. Popkultura miesza w głowach. Jeżeli działania swoich ulubionych bohaterów obserwuje ktoś niezbyt wyrobiony, to może dojść aż do tego, że będzie chciał stać się tą postacią.

”
Moja przestroga jest taka, by uważać nie tylko na treści, ale także na to, kto nam je podaje, bo sieć bardzo łatwo może zostać zmieniona w narzędzie opresji. Nie ma wolności bez internetu, ale i bez właściwych umiejętności posługiwania się nim

Jak z tym walczyć? Jak budować świadomość tych zagrożeń?

Można powiedzieć, że tego można uczyć, ale najpierw nauczyciele muszą zdagnozować sytuację, potem pochylić się nad popkulturą. Okazuje się bowiem, że podczas gdy naukowiec zaczyna mówić o czymś w sposób nieinteresujący, na ten sam temat reżyser robi film, który porywa odbiorców. Wzruszamy ramionami,

ponieważ okazuje się, że wiedza pochodząca od naukowców nie jest potrzebna – wiemy swoje, bo widzieliśmy film na podobny temat.

To jest niebezpieczne, ponieważ któregoś dnia dojdzie do tego, że profesorami będą ludzie wychowani i wykształceni wyłącznie na popkulturze. Skończy się epoka „twardych” naukowców. Ważne jest, kto uczy, kogo uczy, czego się wymaga. Coraz częściej pojawia się postawa – jak to się mówi po angielsku – who cares? Kogo interesuje, czy coś jest prawdą czy fałszem. Oczywiście, gdy to dotyka nas osobiście, gdy to my mamy problem, wtedy jest inaczej. Ale gdy jakaś okoliczność z życia znanej osoby jest nieprawdziwa, i w dodatku jest śmieszna, jej prawdziwość nas nie interesuje. Dobrze, że dziennikarze, część polityków się jeszcze nad tym zastanawia, ale powtórzę – vox populi nie jest zainteresowany tym, co jest prawdą, a co fałszem.

Fake newsy stały się wyjątkowo groźne w trakcie pandemii koronawirusa. Pojawilo się wiele nieprawdopodobnych, ale koniecznych do sprawdzenia informacji, jak chociażby ta, że wirus został stworzony w Chinach z premedytacją.

A co, jeśli to się okaże prawdą? Zawsze trzeba brać to pod uwagę, wtedy teza nieprawdopodobieństwa zostaje rozmiękczona. W takiej sytuacji mowa o plotkach, bo pojawia się element, który trzeba sprawdzić. W latach 90. powstał film pod tytułem „Teoria spisku” z Melem Gibsonem w roli głównej. Grał on człowieka, który wszędzie wietrzył podstęp, szukał sensacji i przypadkiem odkrył ogromny

spisek. Od wyobrażenia o spisku do spisku może być niedaleko.

Jak powinniśmy się zachowywać w takiej rzeczywistości?

Być czujni i starać się rozgraniczać, ale ktoś musi nam w tym pomóc. Nie można jednocześnie czytać gazety i co chwilę sprawdzać, czy to, co zostało tam napisane, jest możliwe. Dlatego oprócz dziennikarzy potrzebujemy redaktorów, bo musi być ktoś, kto zweryfikuje to, co napisał dziennikarz, i stworzy w gazecie narrację filtrującą, która nie pozwoli przedostać się wątpliwym treściom.

Często w tekstach pojawia się „mrugnięcie okiem” do czytelnika, które ma pokazać, że to, co czyta, niby jest nieprawdą, ale kto wie, może to jednak prawda... Sposobów na osłabienie waloru prawdy jest wiele. Na kwestie wątpliwe jest miejsce, ponieważ nasza detektywistyczna zdolność semiotyczna odkrywania znaczeń musi istnieć, jednak nie w takim zakresie, jak to jest dzisiaj. Obecnie widz, obserwator, czytelnik jest właściwie bezbronny, bo musi wierzyć autorytetom gazetowym, których interesem nie zawsze jest mówienie prawdy jako takiej, samej w sobie, ale mówienie tej prawdy według czyichś poglądów.

Fake newsy w znacznej mierze pojawiają się przede wszystkim w internecie, gdzie każdy może być odbiorcą, a za chwilę nadawcą.

Jak być odbiorcą, ale i nadawcą świadomym i czujnym?

Należy uczyć i uczyć się. Uczniowie w szkole nie powinni być lepsi od nauczycieli. A tak jest w wielu przypadkach. Trzeba pomóc nauczycielom, przygotować ich, aby byli przynajmniej jedną lekcję do przodu przed uczniami. To, w jaki sposób dzieciaki potrafią posługiwać się komputerami, obracać w cyberprzestrzeni, wynika z tego, że uczą się same albo znajdują internetowych guru. To nie szkoła i nie dom je tego uczą, lecz aby nad zdobywaniem tej wiedzy była jakaś kontrola, właśnie szkoła i dom powinny odgrywać najważniejsze role. Rodzice powinni przechodzić wspólnie z dziećmi przez miejsca w internecie, które one odwiedzają. To obowiązek rodziców, dzięki temu również sami się uczą. Przesadą jest popularne stwierdzenie, że młodzież w sposób niejako naturalny zdobywa umiejętności posługiwania się internetem, komputerami. Tego trzeba się uczyć.

Zresztą wiele osób zatrzymuje się na podstawowym etapie, na poziomie strony WWW, znają jedną lub dwie dróżki, a nie tysiące dostępnych w internecie. Ktoś powinien im pokazać potencjał internetu.

Również Kościół powinien zaangażować się w ten mechanizm. Kiedyś prowadził znakomite strony w internecie, teraz tego jest coraz mniej. Im bardziej internet staje się zaawansowany, tym bardziej my opuszczamy ręce, kapitulujemy, mówimy, że nie potrafimy temu podolać. Ale nie wyobrażam sobie, abyśmy rzeczywiście mogli skapitulować, ponieważ to by była kapitulacja totalna. Nauczyciele nie mieliby czego uczyć.

Jakie skutki niesie dla mnie jako odbiorcy nieświadome, pozbawione czujności operowanie internetem?

Po pierwsze – co zawsze interesuje ludzi – po prostu można stracić pieniądze. Były przecież sposoby wyłudzenia na wnuczka, teraz na koronawirusa. Po drugie – ktoś może się pod nas podszywać, co może przysporzyć wielu problemów. Ale najistotniejsze jest to, że sieć, która może być panaceum na wiele problemów, zostanie w końcu skorumpowana, utraci swój walor, jaki miała na początku. Na przykład Wikipedia, która startowała spokojnie, a w tej chwili jest najbardziej demokratyczną formułą. Każdy może coś dopisać, każdy może to sprawdzić. Moja najsilniejsza przestroga jest taka, by uważać nie tylko na treści, ale także na to, kto nam te treści podaje, bo sieć bardzo łatwo może zostać zmieniona w narzędzie opresji. Nie ma wolności bez internetu i – dodajmy – bez właściwych umiejętności posługiwania się nim. ■

REGUŁA 7. Jeśli masz wątpliwości wobec newsa,
to tym ważniejsza jest jego weryfikacja

Warto płacić za rzetelność

W świecie informacji powinniśmy kierować się podobną zasadą jak w sklepie.

Nauczyliśmy się sprawdzać datę przydatności do spożycia produktu, jego świeżość. To samo musimy stosować podczas konsumowania informacji – mówi EDWIN BENDYK

Dlaczego w dzisiejszych czasach odbiorca nie może ufać informacji i musi ją weryfikować?

U źródeł tego zjawiska leży spadek zaufania do instytucji medialnych, które w infrastrukturze społecznej pełniły rolę miejsc, gdzie dostaje się sprawdzoną, dobrej jakości informację. W badaniu „Edelman Trust Barometr”, które przeprowadzane jest rokrocznie, wyraźnie widać, jak media straciły zaufanie. To pokazuje, że nie ma kotwicy, punktu odniesienia. W Polsce to się pogłębiło również ze względu na sytuację w mediach publicznych. To one powinny być czymś w rodzaju punktów triangulacyjnych, pełnić rolę wzorca w sytuacji, gdy fake news staje się orężem wykorzystywanym również w relacjach międzynarodowych, by oddziaływać na rzeczywistość wewnętrzną. Gdy media publiczne stosują dezinformację i fake newsy, realizując zamówienie mocodawców politycznych, trudno mówić o jakimkolwiek zaufaniu do nich. Z drugiej strony media generalnie przechodzą kryzys zaufania, co związane jest ze spadkiem zaufania do różnego typu instytucji.

Jakim informacjom w takim razie ufać i uznawać za sprawdzone?

Wspomniany wyżej „Edelman Trust Barometr” wykazał, że Polacy ufają „innym, takim jak ja”. To znaczy, że najchętniej ufamy wiadomościom ze swojej „bańki informacyjnej”, ludziom myślącym podobnie do nas. To zjawisko uzasadnione psychologicznie, podobnie myślący ludzie wzbudzają w sobie nawzajem większą ufność. Jeśli chodzi o Polaków i zaufanie do informacji, ciekawych danych dostarczają obserwacje przestrzeni komercyjnej. O ile jesteśmy nieufni w codzien-



EDWIN BENDYK – publicysta tygodnika „Polityka”, wykładowca Collegium Civitas i Centrum Nauk Społecznych PAN, prezes zarządu Fundacji Batorego

nych relacjach i na pytanie, czy drugiej osobie można zaufać, odpowiada pozytywnie do 20 proc. badanych, o tyle inaczej jest w przestrzeni handlu internetowego. Poziom zaufania do rekomendacji przekroczył w jednym z badań 50 proc. i był to jeden z najwyższych wyników wśród badanych społeczeństw. Jak widać, przemiana przestrzeni medialnej – pojawienie się nowych mediów, upadek mediów publicznych, przekształcenia mediów tradycyjnych – prowadzą do zmian w strukturze zaufania do instytucji medialnych, dziennikarzy i źródeł informacji w ogóle.

W jaki sposób odbiorcy mogą odróżnić fake newsy od informacji prawdziwych? Czy

istnieją elementy charakterystyczne dla tych pierwszych?

Podstawowym kryterium jest źródło, to, skąd dana informacja pochodzi. Najpierw trzeba spojrzeć, kto jest nadawcą. Jeżeli jest to jakieś nieznanne źródło, trzeba zachować czujność, tym bardziej że w internecie wszystko wygląda podobnie. Lepiej ufać markom medialnym niż tzw. no name'om. Potem już jest trudno, bo wszystko zależy od nastawienia odbiorcy, wkraczają mechanizmy psychologiczne. Jeżeli szukamy potwierdzenia dla naszego przekonania, zrobimy wszystko, by je znaleźć. Gdy np. nabieramy podejrzenia, że pandemia jest fake newsem, że to spisek, będziemy robić wszystko, by znajdować informacje potwierdzające tę tezę. Wtedy każdy uprawdopodobniający to szczegół będziemy interpretować pozytywnie. Nie przystępujemy do szukania informacji z nastawieniem krytycznym, tylko potrzebą potwierdzenia. Dlatego należy rekomendować nastawienie krytyczne, ono powinno nam zawsze towarzyszyć, ale tego się nie uczy, np. w szkołach. To ważne nie tylko w odniesieniu do internetu. Mowa generalnie o krytycznej analizie tekstu, ona powinna być podstawą edukacji humanistycznej.

Należy też zwracać uwagę na język komunikatu. Nie jest to łatwe, ponieważ fake newsy ewoluują. W 2014 roku, w czasie rewolucji ukraińskiej, pojawiało się mnóstwo komentarzy w obiegu twitterowym czy facebookowym, których język ewidentnie pokazywał, że są one rosyjskiego pochodzenia. Były pisane po polsku, ale dziwną składnią. Ktoś kompetentny językowo od razu widzi, że z taką informacją jest coś nie tak.

Poza tym jeżeli podchodzimy do informacji krytycznie, często fake newsy nie są w stanie sprostać analizie logicznej. Są w nich sprzeczności i można je wyłapać, jeżeli ma się kompetencje do logicznego rozbiórki zdań. Charakterystyczne dla fake newsów jest też wykorzystywanie ogromnych uproszczeń, wielkich kwantyfikatorów czy przesadnych sądów. Doskonałym przykładem była informacja, że Bill Gates wymyślił koronawirusa, by zmusić wszystkich do

szczepienia, podczas którego nada każdemu cyfrowy numer, który będzie podstawą systemu kastowego. Jeżeli się w to uwierzy, będzie się szukało potwierdzenia takiej informacji, ale jeżeli użyje się zmysłu krytycznego, to zauważy się, że każdy z elementów tej lamigłówki jest nieprawdopodobny.

Pojawia się tu tak znaczna przesada, że powinna przynajmniej budzić ostrożność. W takim momencie należałoby przejść przez wszystkie punkty „Dekalogu walki z fake newsami”, by zweryfikować taką informację.

Jak i gdzie zatem nauczyć się krytycznego, świadomego myślenia?

Moim zdaniem nie ma prostej recepty, nie chodzi o zalecaną edukację medialną, tylko po prostu o odpowiednie kształcenie humanistyczne. Dobrym przykładem jest Francja, gdzie kanonem edukacji jest krytyczna analiza tekstów, a matura z filozofii jest obowiązkowa. Dzięki temu każdy we Francji wychodzi z liceum z przygotowaniem do świadomego odbioru informacji czy to w mediach, czy na Facebooku. W 2017 roku siła oddziaływania rosyjskich trolli we Francji była znacznie słabsza niż w Wielkiej Brytanii podczas kampanii w sprawie brexitu

czy w Stanach Zjednoczonych podczas wyborów prezydenckich. Szkoły nic nie zastąpi i o to trzeba walczyć. Ważna jest funkcja mediów publicznych, które powinny być źródłem pewnych, sprawdzonych informacji, a nie narzędziem wojny hybrydowej przeciwko społeczeństwu. To niszczy całą logikę.

Jakie mogą być skutki dania wiary czemuś, co nie jest prawdą?

Będziemy podejmować złe decyzje. Jeśli uwierzymy, że pandemia jest wymysłem, będziemy zachowywać się zgodnie z tym przekonaniem i zaczniemy zaniedbywać środki ostrożności. Niemal od początku pandemii pojawiały się komunikaty z hashtagiem

”

Zanim zdecydujemy się coś udostępnić w mediach społecznościowych, powinniśmy upewnić się, że nie jest to jakiś fake news. To nie jest łatwe, ponieważ gdy coś nam się podobą, podajemy to dalej bez głębszej analizy. (...) Problem w tym, że robi się to bardzo łatwo. Pojawia się też ludzka potrzeba bycia w ciągłym kontakcie

#pandemia_to_fake_news czy #wyjdźcie_z_matrixa_pandemii_nie_ma nie tylko w internecie, ale także w postaci murali w przestrzeni publicznej. Skutki tego mogą być tragiczne, bo odbiorca zaczyna zachowywać się irracjonalnie. A takie zachowanie prowadzi do złych decyzji. Chodzi tu także o polityczne wybory dokonywane w oparciu o emocje zamiast o racjonalną analizę. Podobnie jest w przestrzeni gospodarczej, np. w marketingu, który posługuje się różnymi chwytami. Ta sfera jest jednak objęta najliczniejszymi regulacjami. W reklamie, która ma przekonać odbiorcę do zakupu danego towaru, pojawiają się pewne instrumenty skłaniające do konkretnej decyzji, ale posługiwanie się jawnym kłamstwem jest najmniej możliwe. To pewien paradoks, że sfera skomercjalizowana jest najbardziej uporządkowana, jeśli chodzi o rzetelność. Ale dzisiaj reklama to tylko część rzeczywistości marketingowej, istnieje też obieg komunikacji choćby w sieciach społecznościowych i tam już często pojawiają się fake newsy.

W internecie pojawia się jeszcze jeden problem – każdy odbiorca staje się nadawcą. Jak wygląda rola jednostkowego nadawcy np. na Facebooku?

Zanim zdecydujemy się coś udostępnić, powinniśmy upewnić się, że nie udostępniamy jakiegoś fake newsa. To nie jest łatwe, ponieważ gdy coś nam się podoba, podajemy to dalej bez głębszej analizy. Bo gdy jest to informacja kompromitująca polityka, którego nie lubimy, to czemu tego nie wykorzystać i nie puścić do znajomych? A to często są fake newsy. Problem w tym, że robi się to bardzo łatwo. Pojawia się też ludzka potrzeba bycia w ciągłym kontakcie, pewnej kompulsywności. Przeciętny użytkownik Facebooka czy Twittera raczej coś „szeruje”, rzadziej tworzy własne treści. To moment, gdy wylącza się krytycyzm. W takich chwilach odbiorca, który staje się nadawcą, jest mniej czujny niż wtedy, gdy szuka informacji dla siebie. Przez to wszyscy stają się coraz bardziej cyniczni. To jest jeszcze większy problem w przypadku osób, które w jakiś sposób biorą udział w tworzeniu opinii publicznej, np. dziennikarzy odpowiedzialnych za jakość informacji, także w relacjach prywatnych. Chcemy być nie tylko podłączeni do strumienia informacji, ale także być widocznymi, a żeby to osiągnąć, trzeba cały czas nadawać.

Wspomniał pan o poziomie zaufania wśród Polaków. Czy jako naród doświadczony PRL-em, cenzurą, jesteśmy bardziej czujni na fake newsy?

Problem sięga dalej, nie jest związany tylko z PRL-em. W czasach rządów PZPR wiedzieliśmy, że władza próbowała w pełni kontrolować przestrzeń komunikacji publicznej, a w najmniejszym stopniu zależało jej na rzetelnym informowaniu. Jednak wśród kompetentnej części społeczeństwa ważną rolę odgrywały rytuały, takie jak np. czytanie między wierszami. Ważne było, by z organu PZPR, jakim była „Trybuna Ludu”, wyczytać komunikat i wyciągnąć z niego właściwe wnioski.

Generalnie jednak w Polsce chodzi o mający historyczne źródła problem niskiego zaufania do instytucji publicznych, zwłaszcza związanych z władzą. U nas jest przede wszystkim problem z państwowością i własnymi instytucjami publicznymi, bo praktycznie przez ostatnie 200 lat niezależni byliśmy tylko przez krótkie momenty.

Jeżeli mówimy o obecnej sytuacji, to już na samym początku pandemii profesor Krystyna Skarżyńska badała zachowania Polaków. I tu pojawiło się kilka interesujących informacji. Jedną to taką, że ponad 80 proc. badanych zaakceptowało reżim pandemiczny w pełnej ostrości. To zaskakujące, że okazaliśmy się tacy potulni. Wynikało to nie z uległości i akceptacji dla autorytaryzmu władzy, ale z przekonania, że tak należy postępować w sytuacji epidemii. Ale z tego samego badania wynikało, że ponad 60 proc. badanych nie ufało informacjom podawanym przez rząd, a w grupie tej byli nawet zwolennicy obecnej władzy. To endemiczna cecha Polaków, choć pewnie podobnie jest też w innych krajach postsocjalistycznych.

Polacy nie wierzą więc w oficjalne komunikaty. Co zaskakujące w sytuacji pandemii, okazuje się również, że nie ufają także lekarzom. Z analizy przeprowadzonej w 2014 roku w 30 krajach, głównie z obszaru Europy z Rosją włącznie, Polska pod względem zaufania do lekarzy była ostatnia. Ufamy natomiast np. organizacjom społecznym. Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy (84 proc.) czy Caritasowi (78 proc.). I, co wydaje się zaskakujące, 74 proc. badanych ufa władzom lokalnym, choć jeszcze dwie dekady temu było to tylko ok. 40 proc. respondentów. Ten wzrost zaufania to chyba najlepsza miara sukcesu reformy samorządowej i postawienia na samorządność jako jeden z filarów ustroju Polski po 1989 roku.

Jak będzie wyglądała przyszłość? Zmęczeni natłokiem informacji odejdziemy od nieprzemyślanego udostępniania na rzecz poszukiwania twardych danych, informacji pewnych? Czy jednak sfera informacji będzie coraz bardziej rozproszona?

Jeszcze dekadę temu problem z jakością komunikacji w internecie wydawał się mniejszy, nie mówiło się wtedy jeszcze zbyt często o fake newsach czy postprawdzie. To narosło w 2016 roku po kampanii wyborczej Donalda Trumpa i kampanii brexitowej. Większym problemem był wyraźny kryzys prasy drukowanej, niechybny zdaniem wielu ekspertów jej upadek. Nawet „The New York Times” szykował się do pogrzebu. Coś się jednak zmieniło, wiele tytułów upadło, ale inne znalazły sposób na odnowienie legitymacji i zaufania czytelników. Gazety pokazały, że są potrzebne, bo tylko one potrafią zamieniać strumienie danych – jakich dostarczał np. serwis WikiLeaks – w użyteczną dla odbiorców syntezę. Okazało się, że sam dostęp do nieprzefiltrowanej informacji nie oznacza jeszcze dostępu do prawdy. I wiele gazet m.in. to odkrycie wykorzystało do odbudowania swojej pozycji.

W Polsce sytuacja jest bardziej złożona, bo u nas w ogóle jest problem z czytelnictwem i korzystaniem z mediów. Dane o czytelnictwie są niejednoznaczne – obserwujemy tendencje spadkowe, ale też szybki wzrost prenumerat internetowych wielu tytułów, co pokazuje przywiązanie do tradycyjnych marek medialnych i potrzebę posiadania czegoś w rodzaju kotwicy niezbędnej, by nie utonąć w informacyjnym chaosie. Niestety, sytuację utrudniają zmiany strukturalne i ucieczka wpływów z reklamy do takich platform, jak Google i Facebook. Czy prasa zdoła wypracować takie modele biznesowe, żeby zniwelować utracone wpływy i utrzymać dochody niezbędne, by oferować treść i informację wysokiej jakości? To jedno z kluczowych pytań. Inne dotyczy tego, czy zdołamy odbudować media publiczne, gdy już dojdzie do zmian politycznych umożliwiających odzyskanie nad nimi społecznej kontroli.

Czy pojawił się kiedyś fake news, który wyjątkowo zapadł panu w pamięć?

Jakiś czas temu pojawiła się historia o podwójnym wydźwięku. W związku z pandemią i sytuacją polityczną media obiegało zdjęcie muralu rzekomo z Bydgoszczy, na którym widoczny był Jarosław Kaczyński

z balonikiem w stylu Banksy’ego, ale zamiast balonika była cząsteczka koronawirusa. To był fotomontaż. Udostępniłem to nie jako informację, gdyż wiedziałem, że to nie jest prawdziwy mural – chodziło mi o ilustrację, która niosła pewną treść niezależnie od tego, czy była prawdziwym murałem czy fotomontażem. Obrazek był „szerowany” i komentowany, ale zauważyłem, że młodzi czytelnicy przede wszystkim podkreślali, że to „fejk”, w mniejszym stopniu odnosząc się do samego przekazu. W sumie to dość budująca sytuacja, bo pokazała, że młodzi ludzie mają krytyczny zmysł, potrafią być fake hunterami.

Jaka jest zatem złota rada na fake newsy? Jak być odbiorcą świadomym?

Powinniśmy kierować się zasadą podobną do tej, którą stosujemy na zakupach w sklepie. Nauczyliśmy się już sprawdzać datę przydatności do spożycia produktu, jego świeżość. Dokładnie to samo musimy stosować podczas konsumowania informacji. Na półkach są różne produkty, komunikaty i można je odróżnić. To trzeba robić i warto zwracać uwagę na markę, na źródło. Znaleźć dobre źródło, któremu jesteśmy gotowi zaufać, ale zawsze krytycznie. Chodzi o źródło, na którym możemy polegać bardziej niż na innych. Warto też płacić za dobrą informację, podtrzymywać przy życiu te media, które karmią nas rzetelnymi informacjami, bo od tego zależy jakość. Płaćmy za dobre informacje, prenumerujemy dobre gazety czy serwisy informacyjne. Ufajmy sprawdzonym serwisom, czyli tym, którym jesteśmy w stanie zapłacić za ich pracę. ■

REGUŁA 8. Pamiętaj, że granica między prawdą i fałszem jest bardzo cienka. To czasem jedno słowo

Mylimy prawdę z racją

Można mówić prawdę, ale nie całą prawdę, czyli właśnie półprawdę, która w pewnym momencie staje się kłamstwem. Każdy fakt wyjęty z kontekstu jest nieprawdziwy. Fragment prawdy może stawać się kłamstwem – mówi dr TOMASZ KOWALCZUK

Jakie słowa mogą zmieniać prawdę w fałsz?

To są słowa, które zmieniają sens wypowiedzi. Dodanie ich lub usunięcie zmienia znaczenie, a nawet prowadzi do zaprzeczenia. Nie spodziewałbym się, że to są słowa jasno i wyraźnie określone. A jeśli nawet, to te są akurat mniej groźne, bo je widać, można je pokazać. Antidotum polega na śledzeniu znaczeń słów, na uwrażliwieniu, „wgrzaniu się” w niuansy, w pole semantyczne, które zawiera różne odcienie słowa i kieruje nas do innego ich rozumienia. Słowo „niepokoić” może oznaczać coś bliskiego prześladowaniu, ale może też oznaczać inspirowanie. Innym często spotykanym i fałszującym mechanizmem jest używanie wielkich kwantyfikatorów, uogólnień. Mówimy „wszyscy”, np. „wszyscy głosują na Biedronia”, „wszyscy popierają rząd” albo „Polacy dużo piją”. To są przybliżenia, które wypaczają prawdę.

Niedawno rozmawiałem z Kubą Sienkiewiczem, który wydał nową płytę z piosenką, w której pada zdanie „Tak mi doskonale w każdym futerale”. Jaka jest różnica między zdaniem: „tak mi doskonale w każdym futerale” i zdaniem „tak mi doskonale w futerale”? „Každy” jest dobrym przykładem tego, jak jedno słowo zmienia sens wypowiedzi. Gdy mówimy „tak mi doskonale w futerale”, to kieruje nas to w stronę granicy, zamknięcia, postawy obronnej, którą symbolizuje futerał. A gdy dodamy słowo „každy”, wtedy zmienia się znaczenie i pojawia się kontekst oportunisty, człowieka bez właściwości, który dostosowuje się do każdej formy.

Jakie mechanizmy służą do tworzenia fake newsów?



MATERIAŁY PRASOWE

DR TOMASZ KOWALCZUK – filozof, literaturoznawca, pracownik Instytutu Literatury Polskiej Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego

Jest tych mechanizmów wiele i o różnym stopniu subtelności. Przykładem, z którym się często spotykam i który pojawia się w kontekście prawdy, jest nadmierne skracanie myśli. Miałem kiedyś okazję skomentować w jednej z telewizji jednocześnie dwa wydarzenia: pamiętną sytuację zablokowania sali plenarnej Sejmu i przeniesienia głosowania do Sali Kolumnowej, a także dramatyczne wydarzenia w Elku, gdzie napastnicy zaatakowali bar z kebabami i jeden z nich został zabity przez imigranta, właściciela baru. Dziennikarz poprosił mnie wtedy o komentarz do obu tych sytuacji i miałem na to osiem minut. To pokazuje sytuację, gdy jesteśmy zmuszeni do skrótu, a skrót w pewnym momencie przekracza granice prawdy. O takim zjawisku mówię

się bardzo mało, a ono we współczesnych mediach i kulturze jest szalenie ważne, zwłaszcza że aktualną kulturę opisuje się jako kulturę skrótu.

Jako językoznawca zostałem kiedyś spytany o to, czemu młodzież zamiast „na razie” mówi „nara”? Jednym z powodów jest to, że w dzisiejszych czasach trzeba coś powiedzieć szybciej. Świadczą o tym ilość znaków na Twitterze, ilość znaków w SMS-ie itd. Na Onecie pojawia się przy tytule artykułu informacja, ile czasu zajmuje jego przeczytanie. To wiadomość dla czytelnika: „nie martw się, nie zajmie ci to więcej niż trzy minuty”. Tendencję do skrótowości widzimy na wielu płaszczyznach. Gdy zaczynałem prowadzić swój fanpage i nagrywałem rozmowy, które miały około 20 minut, ludzie mówili mi, że to za długo, że nikt nie będzie tego słuchał. A tu przecież chodzi o szacunek do słuchacza, dlatego że prawda nigdy nie jest prosta, nie jest skrótowa. Prawda wymaga kontekstu, dopowiedzi, cieniowania, jest skomplikowana. Jeżeli zestawimy naturę prawdy – która rozgrywa się w subtelnościach i wymaga nakreślenia różnych kontekstów – z tendencją do skrótowości, to okazuje się, że po przekroczeniu granicy sensowności skrótu to, co mówimy, staje się zbyt proste i przestaje być prawdą. Prawda jest tak uproszczona, wręcz prostacka, że zaczyna być fałszem.

Kolejnym fundamentalnym mechanizmem manipulacji językowej – i w rezultacie źródłem fake newsów – jest posługiwanie się półprawdami. Często wtedy też zostają zestawione ze sobą dwa fakty, z których jeden jest prawdziwy, a drugi nie, ale ten drugi jest jakby uwiarygodniony przez pierwszy, któremu nie można zaprzeczyć. Jak zawsze w takich przypadkach trzeba oddzielić działanie zamierzone od niezamierzonego, wynikającego z ignorancji czy właśnie z chęci skrótu. Ma to też uzasadnienie głębsze w samej naturze prawdy, która z definicji zawsze jest jakoś niepełna. Jeśli więc ktoś używa półprawd z ignorancji, mówi nieprawdę, ale jeśli robi to świadomie w celu manipulacji, wtedy kłamie.

Jak to wygląda w praktyce?

Znakomitym przykładem obrazującym mechanizm półprawdy jest głośny film Sylwestra Latkowskiego. To, że Borys Szyc, Andrzej Chyra czy Kuba Wojewódzki bywali w klubie Zatoce Sztuki, jest prawdą. Ale za tym podąża zamierzony – lub nie – skrót myślowy, który jest bardzo nośny. Jest prawdą, że oni tam bywali, ale nie jest lub nie musi być prawdą rozszerzanie i łączenie tego faktu z głównym wątkiem filmu, czyli sprawą przestępstw seksualnych wobec nieletnich, do których miało dochodzić właśnie w Zatoce Sztuki. Często w takiej sytuacji posługujemy się terminem nadinterpretacja albo insynuacja.

Trudno się przed tym bronić, bo nie można po prostu zaprzeczyć, trzeba zacząć tłumaczyć okoliczności, a jeśli ktoś się tłumaczy, to uznawane jest

to za dowód na nieczyste sumienie. Do tego niektórzy odbiorcy chętnie poprzestają na fakcie i w fałszywej logice dodają: „musiał wiedzieć”. A jeśli to jeszcze trafia na kogoś, kto ma złe zdanie o aktorach, kogoś, kto uważa aktorów, celebrytów, inteligentów za ludzi żyjących – jak w popularnej półprawdzie o starożytnym Rzymie – w atmosferze rozpasania moralnego, prawda staje się niewidoczna i niewygodna. Ludziom nie przychodzi

do głowy, by spytać: „Co z tego, że ktoś tam bywał?”. Czy to oznacza, że każdy, kto bywa w kościele, jest zwolennikiem pedofilii wśród księży?

Półprawdy potwierdzają światopogląd odbiorcy i żerują na nim, umacniając jego świadome lub nieświadome oczekiwania. Uruchamiają łańcuszek skojarzeń, który potrafi sięgać zadziwiająco daleko. Skoro bowiem celebryci bywali w tym miejscu, to – i tu zaczynamy łańcuch – musieli wiedzieć, a to świadczy – uogólnienie i wielki kwantyfikator – że wszyscy celebryci są zgnilizną moralną, a być może także np. Rafał Trzaskowski jest też celebrytą, wszak jego przyjacielem od dziecięcych lat jest pewien znany aktor, który być może nigdy tamtędy nawet nie przechodził, ale... itd., itp. Fake news robi

”

**Ktoś mówi całą prawdę,
którą zna, ale to nie jest cała
prawda absolutna. Dlatego każdy
news jest w pewnym sensie fake
news, ponieważ on nigdy
nie jest absolutnie dopełniony.
Ponieważ zawsze jest skażony
fragmentarycznością prawdy.
To dość pesymistyczne założenie,
wobec którego jesteśmy
bezzadani**

karierę jak plotka, kalumnia, pomówienie poprzez przekazywanie sensacyjności rodem z magla i moralności Dulskich.

Dlaczego na sali sądowej przysięga się, że mówi się prawdę i całą prawdę? To jest bardzo istotne, ponieważ można mówić prawdę, ale nie całą prawdę, czyli właśnie półprawdę, która w pewnym momencie staje się kłamstwem. Uruchomienie fałszywej, ludowej, spiskowej logiki powoduje, że ona

sama dopowiada resztę i fake newsy tworzą się siłą owej logiki apelującej do przekonania, fobii, stereotypów odbiorcy. Każdy fakt wyjęty z kontekstu jest nieprawdziwy, a ponieważ nigdy nie znamy pełnego kontekstu – ten zna tylko Bóg, jeśli istnieje – to możliwe i konieczne są tylko staranne przybliżenia. Fragment prawdy może bowiem stawać się kłamstwem.

Metafizyczna natura prawdy obiektywnej powinna nam przypominać, że w tej kwestii zawsze jesteśmy po ludzku ułomni, zawsze jesteśmy bohaterami nieboskiej komedii, dostępne są nam – jak mówiła Maria Janion – tylko prawdy częściowe. Nawet na gmachu Sądu Najwyższego przeczytamy inskrypcję: „Rozstrzygnięcie sądowe przyjmuje się za prawdziwe”. Zakładamy, że sędziowie są w stanie ocenić prawdę dostatecznie szeroko i głęboko, ale jednak nie posuwamy się do twierdzenia, że wyroki sądowe są prawdziwe.

A jeśli mówimy całą prawdę zgodnie z tym, co wiemy?

No właśnie, to jest pytanie, czy nadawca ma dostęp do całej prawdy, ponieważ może mówić prawdę, która jest całą prawdą, którą on zna. Ktoś mówi całą prawdę, którą zna, ale to nie jest cała prawda absolutna. Dlatego każdy news jest w pewnym sensie fake newsem, ponieważ on nigdy nie jest absolutnie dopelniony. Ponieważ zawsze jest skażony fragmentarycznością prawdy. To dość pesymistyczne założenie, wobec którego jesteśmy bezradni. Ale też nie jest to powód do opuszczenia rąk. Trzeba konsekwentnie

”

Gdy ktoś mówi nieprawdę o nas, to wiemy, że to jest nieprawda, i to nie burzy naszego światopoglądu. Mamy poczucie, że choć nas kłamstwem skrzywdzono, to wiemy, że jest to fałsz. Natomiast powiedzenie prawdy, na którą nie jesteśmy przygotowani, burzy harmonię wewnętrzną, unaocznia, kim jesteśmy

się okazać, że gdzieś w Polsce jest jeszcze osoba, która myśli inaczej. Dlatego poszukiwanie absolutnej prawdy jest niemożliwe. Stąd też jest granica, gdzie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy nadawca dokonał dostatecznie głębokiej weryfikacji prawdy, ona nigdy nie będzie prawdą ostateczną.

Czym zatem w ogóle jest prawda, a czym jest fałsz?

Klasyczna definicja „prawdy” mówi o tym, że kryterium prawdy jest zgodność z rzeczywistością. „Fałsz” jest niezgodnością. Ale czy chodzi nam o stwierdzenie prawdziwości jakiegoś faktu, czy o dotarcie, a raczej ciągłe i beznadziejne docieranie do prawdy obiektywnej, którą raczej przeczuwamy, w którą wierzymy, ale wiemy, że nic o niej nie wiemy?

Kiedy mówimy o prawdzie, warto by było rozróżnić stwierdzenie prawdziwości izolowanych faktów i prawdziwości różnych sądów. Jeśli chodzi o prawdziwość takich faktów, jak choćby czy bitwa pod Grunwaldem miała miejsce w 1410 roku albo czy autorami słynnej „The Dark Side of The Moon” był zespół Pink Floyd, weryfikacja wydaje się prosta. Jeśli jednak zadamy pytanie: czy nakłady na zdrowie w Polsce rosną, to odpowiedź, a co za tym idzie, ocena prawdziwości, już będzie trudniejsza, bo być może w liczbach bezwzględnych rośnie, ale licząc choćby inflację czy rozpisując na liczbę chorych, być może maleje. To znany wszystkim sposób fałszowania rzeczywistości przez statystykę.

Jeśli prezydent Andrzej Duda twierdzi w podobnym tonie, że głos ludu jest ważniejszy od głosu

pamiętać przy wypowiedzianiu sądów, które nawet uczciwie wydają nam się prawdziwe, że w szerszej perspektywie mogą takie nie być. Gdy np. opisujemy obrady Sejmu z danego dnia, to dziennikarz nie jest w stanie spytać wszystkich posłów o to, jak te obrady przebiegały, dlatego stara się spytać posłów z różnych opcji politycznych. Gdy mowa o jakimś zjawisku społecznym, to po zebraniu 100 opinii może

profesorów, to mówi prawdę, ale jeśli, leżąc na sali operacyjnej, powiem, że głos profesora więcej dla mnie znaczy niż cały lud razem wzięty, też powiem prawdę. Czy opozycja przy Okrągłym Stole dogadała się z komunistami i stworzyła podwaliny postkomunistycznej III RP, czy było zupełnie inaczej?

Niekiedy używamy związku frazeologicznego „prawda leży pośrodku”. Inni w kontrze na to odpowiadają, że „prawda leży tam, gdzie leży”. Ja najbardziej jestem przekonany do sądu, że prawda jest sumą: i to, i to. Tu być może należałoby w ogóle nie używać pojęcia prawdy, a raczej racji, która często myli się z prawdą. Racja to powód, uzasadnienie jakiegoś poglądu. Mówiąc „masz rację”, mówimy „masz powód, by tak mówić, ale to właśnie twój powód, a ja mam inną rację, kiedy wyrażam sąd przeciwny”. Grecy i w tragedii, i w dialogach chcieli tę całą prawdę uchwycić.

Dlatego dialog, którego dziś tak nam brakuje, nie był dla Greków po prostu rozmową, był sposobem aktualizacji prawdy rozpisanej na dwa głosy, na dwie racje, które w logice opisuje prawo wyłączonego środka „p” lub „nie-p”. Rzymianie natomiast uznali, że skoro prawda absolutna nie jest nam dana, to jedyną prawdą staje się „moja prawda”, do której trzeba albo przekonać argumentami, albo mniej lub bardziej agresywnymi chwytami retorycznymi, albo na koniec zmusić przeciwnika, w którym już przyjaciela nie widać, do podporządkowania.

Współcześnie lepiej sprawdza się postawa grecka czy rzymska?

Niestety, jesteśmy w prostej linii dziećmi Rzymu, a nie Grecji. Żeby być skutecznym w życiu, biznesie, polityce, musimy przyjmować swoją prawdę. Gdybyśmy siedzieli na agorze ad mortem defaectam, to nigdy do niczego nie dojdziemy, niczego nie stworzymy, ponieważ zawsze po drugiej stronie pojawi się „nie p”. Dlatego kultura rzymska jest bardziej skuteczna. Lepiej, aby prezes firmy podjął złą decyzję, ale by jakąś podjął, a to jest właśnie ta

częstkowa prawda. Gdy podejmujemy decyzję, ona jest do połowy słuszna, nie jest prawdą absolutną, tylko moją, taką, w którą wierzę, którą wybieram, na którą się decyduję w działaniu. Jeśli będziemy o tym pamiętać, to ewentualne niepowodzenie może nam przypomnieć o tej drugiej częstce. Gdy polityk mówi „p”, to opozycja jest po to, by mówić „nie-p”. Powinniśmy dążyć do tego, by w Senacie czy Sejmie uzgadniać te dwie prawdy i dochodzić do czegoś wspólnego. Dopóki polityk wie – powinien wiedzieć – że jego prawda jest prawdą częstkową, to ma szacunek dla drugiego człowieka, a największy do tego, który daje mu dar „nie-p”. Natomiast gdy traci się ten szacunek, gdy zaczyna się być przekonanym tylko do swojej prawdy – a to jest choroba polityków – pojawia się sytuacja uzurpacji monopolu na prawdę. Wtedy nie dostrzegamy roli tego, kto nam

daje „nie-p”, traktujemy go jak wroga, odmawiamy dobrych intencji i niszczymy, by narzucić swoje „p”.

Jest w rzeczywistości medialnej także sfera fake newsów niezamierzonych, które wynikają z nonszalancji, skrótowności czy ignorancji. Coś może pełnić rolę fake newsa, mimo że nadawca nie miał takiej intencji, ponieważ albo został źle zrozumiany, albo sam nie wiedział, że to, co mówi, nie jest prawdą

Zatem prawdziwa informacja dla każdego jest czymś innym?

Każdy komunikat rozgrywa się zarówno w intencji nadawcy, jak i odbiorcy, a one mogą być inne i może się okazać, że te różnice interpretacji są różnicami, które fałszują zdanie. Fałsz nie musi wynikać z intencji

nadawcy, który chce powiedzieć coś nieprawdziwego, ale z tego, że mówi nieudolnie, ubiera przekaz w złe słowa.

Czy słowo może być bronią, a kłamstwo bronią cięższą od prawdy lub odwrotnie?

Słowo jest i wielokrotnie było bronią, ponieważ może być użyte do manipulacji, kategoryzacji itp. To są mechanizmy, które kogoś stygmatyzują, wykluczają, napuszczają jednych na drugich, a w rezultacie mogą rodzić agresję. Czy boleśnieszka jest prawda, czy kłamstwo lub pomówienie? To zależy też od autoświadomości indywidualnej i zbiorowej. Jesteśmy wychowani w kulturze, w której prawda

jest jedną z najważniejszych i najwyższych wartości. Mówi się, że prawda wyzwala, że daje spokój, że buduje zdrowe relacje. Gorzej jest jednak, kiedy prawda nie jest. Jest raczej mitem, zwykle idealizującym. Wtedy prawda może zranić, jeśli nie jesteśmy na nią gotowi. Moim ulubionym przykładem w dyskusji na ten temat jest „Dzika kaczką” Henryka Ibsena, ponieważ ona idealnie pokazuje, jak działa prawda wśród ludzi, którzy jedynie deklarują, że chcą prawdy, a w rzeczywistości nie są na nią przygotowani. Prawda rani tych, którzy żyją mitologią, życiowym fałszem. Dotyczy to zarówno osób, jak i zbiorowości, grup społecznych czy narodów, które tkwiąc w mitologizacji i fałszywej świadomości, w każdej chwili są narażone na to, że – jak to się mówi – prawda wyjdzie na jaw. Wtedy też uruchamiają się różne mechanizmy wyparcia, racjonalizacji itp.

Prawda zatem bywa bardzo bolesna, bo konfrontuje nasze wyobrażenia o sobie z rzeczywistością, a to zwykle nie wychodzi zbyt dobrze. Kłamstwo, pomówienie jest oczywiście bolesne, niesprawiedliwe. Ma też skutki osobiste, społeczne, ekonomiczne. Gdy jednak ktoś mówi nieprawdę o nas, to my wiemy, że to jest nieprawda, i to nie burzy naszego światopoglądu. Mamy wewnętrzne poczucie, że jakkolwiek nas tym kłamstwem skrzywdzono, to my wiemy, że to jest fałsz. Natomiast powiedzenie prawdy, na którą nie jesteśmy przygotowani, burzy harmonię wewnętrzną, unaocznia, kim jesteśmy.

A jakie szkody może wyrządzić kłamstwo w kontekście fake newsów?

Warto zdefiniować, czym jest fake news. W ekstremalnej wersji może być świadomym wprowadzeniem do obiegu nieprawdy, która ma na celu destabilizację sytuacji politycznej czy społecznej, może prowokować, wprowadzać zamieszanie, a nawet wywoływać konflikty zbrojne. Świadomie zastosowany fake news odwołuje się do potencjalnych emocji, które tkwią w odbiorcy. Nadawca, który wie, jak pewna grupa odbiorców zareaguje na daną informację, swoim fake newsem może spowodować konkretne reakcje. Powiedzenie w Polsce, że Polak został pobity w Rosji, uwalnia konkretne reakcje społeczne, niezależnie od tego, czy to prawda i jakie były tego okoliczności. Fake news zrodzony przez niejasny, niedopowiedziany fakt z prawodawstwa UE – choćby sławetna krzywizna banana – w mi-

nimalnym stopniu wywołuje chęć zrozumienia tej regulacji, ale natychmiast staje się sztandarem krytyków Unii. Taki fake news pełni rolę katalizatora określonych zachowań społecznych, budzi uśpione emocje i resentymenty.

Sam fake news nie jest aż tak skuteczny, jeśli nie uruchamia ukrytego zapotrzebowania z drugiej strony. To mechanizm świadomego grania komunikatami. Gdy nadawca wie, jak zareaguje odbiorca, gdzie jest jego słaby punkt, prowokuje i obserwuje jego ostrą emocjonalną i zwykle niewspółmierną reakcję. Tkwiące w człowieku świadome i nieświadome założenia są aktualizowane przez odpowiednie newsa, zarówno prawdziwego, jak i nieprawdziwego. Chętnie takiego newsa „kupujemy” i tracimy czujność, bo zaspokajają nasze oczekiwania. Szukamy w nim potwierdzenia dla naszej wizji świata.

Warto podkreślić, że dotyczy to zarówno oczekiwań dobra, jak i zła. Już stoicy zalecali dystans do emocji, które fałszują ogłód świata. Odbiorca nie sprawdza otrzymanej informacji, bo jego emocje są tak silne, że nie ma na to czasu. W przypadku fake newsów związanych z koronawirusem – że to spisek, że to broń biologiczna, że został stworzony przez Chińczyków – one „tylko” zaktualizowały potencjał, który tkwi w ludziach. Taka informacja trafia przede wszystkim do tych, którzy są przekonani, że Chińczycy są podejrzani, są agresorami, oszustami, chcą zniszczyć świat zachodni. W człowieku, który nie ma takiego założenia w sobie, nie wywoła to silnych emocji – uzna, że to jest możliwe, ale że to trzeba sprawdzić. Racjonalnie myślący człowiek musi wziąć pod uwagę koncepcję, że wirus wydostał się z wojskowego laboratorium w Wuhanie, ale będzie to tylko hipoteza, jedna z wielu i wymagająca weryfikacji. Ważne jest także to, że takie fake newsy są trudno weryfikowalne. Bo jak ktoś, kto wierzy, że wirus wydostał się z laboratorium, ma szansę to zweryfikować? Musi zaufać lekarzom, naukowcom, nie mówiąc o politykach.

A z tym jest w Polsce problem...

Mamy do czynienia z ogromnym kryzysem takiego zaufania. Naukowcy różnią się, dyskutują, ulegają pokusom, zmieniają zdanie, wyrażają swoje opinie adekwatnie do sytuacji w sposób dość skomplikowany. Mija czas, a ludzie chcą informacji prostej

i szybkiej. To w połączeniu z przecuciem apokalipsy albo spisku wojska daje w zasadzie nieograniczone pole do hasania fake newsom. Wszyscy naukowcy mówią, że Ziemia jest kulista, a w dalszym ciągu są osoby, które uważają, że jest płaska. Fake newsy atakują tam, gdzie jest potencjał.

Jest także sfera fake newsów niezamierzonych, które wynikają z nonszalancji, skrótowości czy ignorancji. Coś może pełnić rolę fake newsa, mimo że nadawca nie miał takiej intencji, ponieważ albo został źle zrozumiany, albo sam nie wiedział, że to, co mówi, nie jest prawdą.

Kiedy mówimy o fake newsach, zapewne najprościej odnieść się do stwierdzania prawdziwości prostych, izolowanych faktów, nie wnikając w wątpliwości zarysowane w różnych stanowiskach filozoficznych. Ale izolowane fakty to nie jest rzeczywistość. Pewien mój radiowy rozmówca powiedział podczas podobnej dyskusji, że historia to nie kalendarium wojen, rozejmów, pokojów, koronacji i detronizacji. Za każdym faktem kryją się ludzie, charaktery, emocje, rachuby, wreszcie przypadki i zbiegi okoliczności. Wydaje się, że nadzieja związana z weryfikacją nawet prostych faktów jest naiwna i złudna. Każdy bowiem fakt podlega interpretacji, wywołuje ciąg skojarzeń, bez których sam jest jałowy. Dopiero skojarzenia z nim i konsekwencje rodzą prawdziwe skutki. Cóż z tego, że news jest prawdziwy, jeśli jego interpretacja jest zadziwiająca czy wręcz absurdalna? Dobrze to widać właśnie na przykładzie izolowanego prostego faktu bycia w klubie sopockim któregoś z wymienionych aktorów. Był? Tak, był. To zatem nie jest fake news, to prawda. Ale czy ten fakt funkcjonuje tylko w tym zakresie? Przecież nie. Nasze myślenie nie poprzestaje na tym fakcie, nie zatrzymuje się na nim, ale klusuje w kierunku wyznaczonym przez nasze świadome i nieświadome przekonania, które dopiero w całości stanowią o obrazie rzeczywistości.

Jak zatem nauczyć się tej świadomości i poruszania w gąszczu informacji?

Najlepszą szczepionką na fake newsy jest edukacja, ale w tej sferze zmiany nie zachodzą „z piątku na sobotę”. Pamiętajmy też, że nie mamy pełnej wiedzy o świecie i wiele z tego, co nauka dziś uważa za fakt, jutro może być fake newsem. W tej sytuacji zawsze aktualna jest postawa krytyczna wywodząca się

z filozofii Kartezjusza, postawa wątplenia, kwestionowania. To powinna być postawa wobec tego, co pochodzi z zewnątrz, ale również wobec samego siebie i naszych przekonań, które są nasze, a przez to pewniejsze i prawdziwsze. Powinniśmy mieć w sobie podejrzliwość. Jest to tym bardziej ważne, im bardziej kogoś lubimy, komuś ufamy, w coś wierzymy. Im bardziej np. jakiś kandydat na prezydenta nam odpowiada, tym bardziej powinniśmy się go „czepiać”, dopytywać, a nie zamykać się na wątpliwości, by potem za niego nie świecić oczami. Im bardziej czujemy misję, posłannictwo, np. dziennikarskie, tym bardziej powinniśmy próbować rekonstruować nawet najbardziej kuriozalne dla nas rozumowania, które przeczyłyby naszemu.

Reasumując, najniebezpieczniejsze są fake newsy, które pasują do naszego światopoglądu, gdyż stajemy się mniej czujni. Fake news staje się dla nas atrakcyjny i oczywisty, bo znaleźliśmy fakt, który potwierdza nasz światopogląd. Wobec fake newsów, które są sprzeczne z naszym światopoglądem, jesteśmy z zasady podejrzliwi, bo bronimy swych przekonań. Niestety, jednocześnie wtedy odrzucamy też prawdę właśnie dlatego, że jest niezgodna z naszym poglądem. Człowiek o rozbudowanej wrażliwości, intelekcie, krytyczny, podejrzliwy co do sądów otrzymanych z zewnątrz, ale też co do sądów własnych, będzie umiał zobaczyć większe pole kontekstu i konsekwencji stwierdzenia izolowanego faktu, a przez to zobaczy też możliwe zagrożenie przemiany tego faktu w fałsz. Człowiek myślący stereotypowo, zero-jedynkowo, czarno-biało, pozwoli na bezkrytyczne i nieświadome pęcznienie tego fałszu na podstawie jednego, ale właśnie izolowanego prawdziwego faktu. News stanie się monstrem fake newsem, siłą tego mechanizmu.

Na koniec chcę też powiedzieć, że ja jestem Grekiem. Opisując kłopoty, które mamy z dotarciem do prawdy absolutnej, nie chcę powiedzieć, że możemy o niej zapominać. Dążenie do prawdy to nasza moralna i intelektualna powinność. ■

REGUŁA 9. Pamiętaj, że polityka składa się niemal wyłącznie z nieprawdy

Rozświecić ciemne miejsca

Czytelnik jest mniej podatny na manipulację, gdy pracuje nad swoim światopoglądem, pogłębia go – mówi MAREK MILLER

Polityka składa się niemal wyłącznie z kłamstw?

Nie podzielam zdania, że polityka składa się wyłącznie z kłamstwa. Są politycy, którzy nie kłamią bądź kłamią niezwykle rzadko. Jeżeli mamy przestrzec czytelników i rozmawiamy w kontekście fake newsa, to powiedziałbym, że czytelnik powinien nabyć pewien rodzaj świadomości, który uchroni przed fake newssem. Otóż za każdą stacją telewizyjną, za każdą rozgłośnią radiową, za każdą gazetą, również „Rzeczpospolitą”, stoi określona koncepcja człowieka. Jej świadomość chroni nas najbardziej. Jeżeli czytelnik odróżnia, jaka wizja człowieka stoi za „Gazetą Wyborczą”, za TVN-em, „Gazetą Polską” itd., inaczej patrzy na informację, która przez nie do niego dociera. Zwraca uwagę, w jakiej mierze informacja służy przedstawieniu obiektywnego świata, wydarzeń i faktów. Wtedy możemy ocenić, czy to jest propaganda, czy rzetelna informacja, i gdzie może nastąpić nadużycie. Jeżeli pamiętamy, czym kieruje się stacja TVN, to wiemy, jaka koncepcja może stać za tym, żeby wcisnąć Polakom neofaszystowskie obchodzenie urodzin Adolfa Hitlera. Wiadomo, że pokazując to, chcą osłabić inne myślenie niż to, które propagują. Odbiorcy natychmiast powinna włączyć się czerwona lampka, skąd akurat TVN wiedział, że dojdzie do obchodów urodzin Hitlera w lesie.

Czułny odbiorca jest bezpieczniejszy?

Czytelnik broni się przed fake newssem wtedy, gdy pracuje nad światopoglądem, pogłębia go, jeżeli interesuje się historią i kulturą własnego narodu. Bo fake news jest po prostu prostytutką, czymś niedopuszczalnym i nie do zaakceptowania w zawodzie dziennikarskim, natomiast manipulacja jest cienką sprawą. Gdy wiosną 2020 roku prezes PiS Jarosław Kaczyński odwiedził cmentarze bez



PAP/ANDRZEJ RYBICKI

MAREK MILLER – reporter, wykładowca w Instytucie Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego, założyciel Laboratorium Reportażu

maseczki, informowała o tym i telewizja rządowa, i TVN. Stacja prywatna akcentowała, że prezes z osobami towarzyszącymi poruszał się w grupie i bez maseczek, podczas gdy telewizja rządowa pokazała to w zupełnie innym świetle. A przecież obydwie stacje relacjonowały to samo wydarzenie, tylko TVN uczył się tego, czego telewizja rządowa nie skomentowała w ogóle. Na tym przykładzie widać, jak ważne jest pomijanie bądź akcentowanie pewnych wątków. Żadna ze stacji nie kłamała, ale obydwie powiedziały częściową prawdę.

Zbroją na fake newsy może być zatem sprawdzanie wielu źródeł?

To prawda, najlepszą ochroną przed fake newssem jest weryfikacja informacji. Przede wszystkim człowiek piszący musi mieć własny światopogląd. Ale bez względu na to, czy będzie się uważał za katolika, czy nie

będzie wierzył w Boga, powinien podchodzić do świata racjonalnie. I zawsze, gdy tylko można, powinien porównywać i sprawdzać.

Nie podzielam poglądu, że każda polityka jest kłamstwem, natomiast uważam, że każda polityka jest rakotwórcza z natury. Ma niezwykłą skłonność do patologii. Dlatego, jak mówił Ernest Hemingway, rzeczą dziennikarza jest podnosić rękę na każdą władzę, pod którą dziennikarz żyje, ponieważ polityka to ciemne miejsce. Politycy są szczególnie wystawieni na pokusę dwuznaczności, manipulacji, na uprawianie propagandy, dlatego rzeczą społeczeństwa jest przyglądać się władzy. Takie ciemne miejsca trzeba prześwieślać. Podobają mi się np., że widzę prezydenta na mszy św., ponieważ gdyby miał kochankę, mógłbym mu powiedzieć: „Panie prezydencie, to nie jest zgodne z głoszoną przez pana religią, pana światopoglądem, to jest hipokryzja”.

Taka hipokryzja zdarza się także mediom. Kiedyś na przykład „Gazeta Wyborcza” na pierwszej stronie zamieściła artykuł o walce z tytoniem i walce z rakiem, którego przyczyną jest tytoń, a na czwartej stronie umieściła reklamę tytoniu. Albo jest przeciwko nękanii homoseksualistów, za równouprawnieniem, ale gdy homoseksualista jest sędzią Sądu Najwyższego, który nie pasuje „Gazecie”, to mu to wyciągają. To niewyobrażalna hipokryzja. Mówi się jedno, a robi się drugie. To ciemna strona mediów.

Ale wszędzie, gdzie są takie ciemne miejsca, musi pojawić się nadzieja. W czasie wojny był specjalny oddział młodych ludzi w Armii Krajowej, którzy wykonywali wyroki na prostytutkach, które utrzymywały kontakty seksualne z esesmanami. Trzeba było wejść do domu takiej kobiety i ją z bliska zastrzelić. To bardzo deprawujące. I ci młodzi ludzie w Armii Krajowej mieli kapłana, z którym się modlili, aby nie zapędzić się w tę ciemność, bo ktoś jednak musiał likwidować osoby, które donosiły na Polaków. Dlatego w miejscach, gdzie dochodzi do szczególnego upadku człowieka, powinno być też miejsce nadziei, miejsce dla Boga.

Jaka jest zatem rola dziennikarzy?

Czytelnik, widz, słuchacz musi umieć żądać od środków masowego przekazu, żeby mówiły prawdę, i ma prawo to egzekwować. Dlatego dziennikarze powinni utworzyć silną reprezentację. U nas jej nie ma. Polskie dziennikarstwo jest zatamizowane, pokłócone i zamiast służyć społeczeństwu, służy partiom politycznym, mafii, Kościołowi. Nie reprezentuje społeczeństwa, lecz interesy

poszczególnych grup. Gdyby dziennikarze mieli silną reprezentację, utworzyliby jakieś ciało, które brałoby pod lupę fake newsy. Jeżeli jakimś medium udowodniono by ich puszczanie w obiegu, takie ciało składałoby wniosek do prokuratury, ponieważ taka redakcja popełnia przestępstwo, które eliminuje ją z profesji. Dziennikarzom potrzebny jest kodeks wspólnych zasad. Piszę o tym w mojej książce opartej na nauczaniu Jana Pawła II „Katechizm reportera”. Bo istnieją wartości, wokół których dziennikarze mogliby się organizować pomimo różnic. To sumienie i podstawowe zagrożenia, jak ekologia, narkotyki, katastrofizm... Jeżeli chodzi o fake newsy, w Polsce jest zbyt duża bezkarność ich rozpowszechniania.

Które fake newsy są bardziej niebezpieczne – te sięgające do emocji czy raczej te udające opinię ekspercką?

Zawsze niebezpieczniejszy jest człowiek inteligentny, który stoi za złem. Kiedyś prowadziłem dyskusję o generale Jaruzelskim – jak to możliwe, że on, pochodzący z ziemiańskiej rodziny, z oddaniem służył komunizmowi. Ktoś mi wtedy powiedział, że Jaruzelski uwierzył we wszechmocną siłę zła, że zło może wszystko, że każdego można zniszczyć, zgnoić, że nikt i nic nie jest ważne. Ponieważ zło jest tak wszechmocne, wszechogarniające, dobro nie może podnieść głowy. Zło jest atrakcyjne i niebezpieczne, dobro natomiast jest bardziej tajemnicze.

Zawsze polityka opierała się na kłamstwie?

A co robił szef propagandy III Rzeszy Joseph Goebbels? Służył fake newsom, mówiąc współczesnym językiem. Prowokacja i kłamstwo były też naturalnym sposobem działania NKWD i KGB. Oni na okragło posługiwali się kłamstwem i mieli całe grupy, które nad tym pracowały. To pokazuje, że istnieje ciemna strona, ale możemy wytworzyć przeciwciała, obronę przed tym złem.

Komunizm wprowadził politykę antykościelną, ale cenzura nie pozwalała puszczać pewnych informacji godzących w Kościół. Na przykład pedofilia według cenzury to nie było coś, o czym warto było pisać w gazetach, ponieważ to można było lepiej wykorzystać. Księdza pedofila lepiej było sfotografować, nagrać i szantażować. Komunizm ukrywał więc prawdę dla własnych interesów. Dlatego musimy być świadomi, wtedy będziemy mogli bardziej kontrolować politykę. ■

REGUŁA 10. Zanim się wypowiesz, trzy razy pomyśl

Mów szybko, ale z namysłem

Myśl, kiedy mówisz, myśl o tym, o czym mówisz, i słuchaj siebie. Jesteś swoim pierwszym słuchaczem, powinieneś akceptować to, co mówisz.

I oczywiście czytaj to, co piszesz – przekonuje profesor JERZY BRALCZYK

Jak komunikatywnie wyrazić nasze myśli?

Po pierwsze, dobrze jest, jeżeli coś komuś mówimy, by myśleć o tym, o czym mówimy. Wtedy słowa zaczynają nawet po części fizycznie przypominać to, co oznaczają. Kiedy myślimy o tym, o czym mówimy, wtedy nadajemy słowom barwę. Słowa i całe zdania stają się obrazowe. Po drugie, pojawia się pytanie: czy dobrze jest długo myśleć? Kiedy ktoś mnie pyta, powinienem przynajmniej przez chwilę zastanowić się nad tym, co to pytanie dla tej osoby znaczy i czy moja szybka odpowiedź nie będzie traktowana tylko jako wyraz chęci zbycia kogoś albo szybkiego wypowiedzenia się. Odruchowe odpowiedzi mogą też być obciążone emocjami. Niektórzy uważają, że to, co powiemy szybko, będzie bardziej prawdziwe, że będzie bardziej zgodne z tym, co myślimy, niż to, co wyspekulujemy przez długi czas. Ale są też tacy, którzy łączą oszustwo nie tyle z szybkim mówieniem, ile właśnie z mówieniem odroczonym. Długie zwlekanie również może zostać odebrane jako wprowadzanie w błąd.

Natomiast generalnie rzecz biorąc, powinniśmy myśleć. Czy trzy razy? Gdy mówimy „pomyśl trzy razy”, to nie chodzi nam chyba o to, by ktoś myślał trzy razy to samo, bo wtedy możemy się w błędzie jedynie utwierdzić. Tutaj bardziej istotne jest to, by myśleć nieco dłużej, by to, co mówimy, nie było wypowiedziane na zasadzie behawioralnej, jako reakcja na bodziec. Aby, jeżeli już chcemy coś powiedzieć, wynikało to z namysłu, z sięgania do rozumu, do rozsądku. „Trzy” to w końcu liczba magiczna, dlatego że wszystko co potrójne, jest doskonałe. Można to również interpretować jeszcze inaczej, jako konstrukcję myślową. Sylogizmy były zawsze trzyczęściowe: dwie przesłanki i wniosek. Myślenie dialektyczne, czyli



PROFESOR JERZY BRALCZYK – językoznawca, wiceprzewodniczący Rady Języka Polskiego, członek Polskiego Towarzystwa Językoznawczego oraz Komitetu Językoznawstwa PAN

teza, antyteza i synteza, też składa się z trzech części. Można wybrać między tezą i antytezą albo połączyć pierwsze z drugim.

Mówienie niepochochne związane jest z jeszcze jedną zasadą: milczenie jest złotem, podczas gdy mowa srebrem. Mówi się czasem, że Bóg dał nam dwoje uszu, dwoje oczu, a tylko jeden język, abyśmy więcej widzieli i słyszeli, niż mówili. Namysł dość często pokazywany jest jako warunek mówienia mądrego, dobrego, słusznego, prawdziwego. To łączy się również z zasadą, którą niektórzy nazywają sokratejską, żeby przed wypowiedzeniem się pomyśleć, od kogo wiemy to, co chcemy powiedzieć, gdzie to usłyszeliśmy oraz w jakim towarzystwie. Te trzy filtry mogą sprawić, że odcedzimy nieprawdę. Sokrates myślał

raczej o słowie wypowiedianym, nie o lekturze, ale w tym przypadku może również się to sprawdza. Czy będziemy bardziej prawdomówni, gdy będziemy myśleli trzy razy? Tego zaręczyć się nie da. Nie należy też za długo myśleć i odraczać, bo pewne rzymskie powiedzenie mówi „bis dat, qui cito dat”, czyli dwa razy daje, kto szybko daje. Jeżeli coś jest szybko dane, to może mieć większą wartość.

Gdzie leży granica między wypowiedzią przemyslaną a manipulującą?

To nie zależy tylko od tempa czy od czasu. Mówimy całymi sobą, uczestnicząc w tym także nasza mimika, nasze gesty i inne sygnały. Milczenie może być pokazane jako zastanawianie się i ten rodzaj kontaktu, który mamy, zwłaszcza podczas mówienia, może trwać nawet wtedy, kiedy milczymy. Czasem bywa to bardzo wymowne. Ale ta zasada dotyczy nie tylko kontaktów ustnych.

Myślę, że odnosi się to również do tego, żeby informacji nie powielać bardzo szybko, w internecie chociażby, i nie puszczać takiego newsa, który może być fejkami, od razu, gdy go od kogoś dostaliśmy. Tutaj działają inne czynniki. Chcemy być trochę wcześniej niż inni, wolimy ubiec kogoś z informacją, bo kiedy po kimś powtarzamy, stajemy się nieciekawi, nikt nie chce nas słuchać, bo nasze wiadomości są spóźnione. Dlatego ludzie tak cenią szybkość informacji i o tym również powinniśmy pamiętać, że informacja wiele zawdzięcza tempu. Na tym polega cała dialektyka, żeby mówić i szybko, i wolno zarazem.

Ja zmieniałbym to „trzy razy” na „mów szybko, ale z namysłem”. Choć to może jest paradoks, ale jeżeli intensyfikujemy swoje myślenie, to te trzy razy nie muszą oznaczać bardzo długo.

Jak sytuacja przedstawia się w przypadku słowa pisanego, dla którego czas nie odgrywa tak znaczącej roli, ale większego znaczenia nabierają wyrazy, składnia, interpunkcja?

Od bardzo dawna funkcjonuje zwyczaj, którego nie lubię, że drukowanym wiadomościom, które nie są sprawdzone, towarzyszy znak zapytania. Wpuszczamy to w internet, na końcu dajemy znak zapytania i jesteśmy ubezpieczeni. Jest też inny zwyczaj interpunkcyjny, który pozwala na użycie formy zaprzeczzonej, ale w nawiasie, np. „(Nie)zależni kandydaci”. Ponadto połowa z tego, z czym stykają się nasze oczy w internecie, to nagłówki – często nie czytamy dalej, bo tekstów jest tyle, że nie jesteśmy w stanie wgłębiać się we wszystkie. Odbiorca jest coraz częściej przyzwyczajony do migotliwości. Jedne informacje mogą drugim przeczytać, informacja dotyczy tylko chwili i zaraz przestanie być ważna. W związku z czym absolutna prawdziwość, która kiedyś kojarzyła się z długotrwałością, już temu nie przysługuje. To jest prawda chwili. Kiedyś mówiło się

o prawdzie czasu, prawdzie ekranu, to teraz można mówić o prawdzie chwili, bo wystarczy moment i przestaje być ważne, czy wiadomość była prawdziwa czy nie, błyskawicznie przytłacza czy wypiera ją kolejna. Nadmiar, często sprzecznych, informacji odbiera nam dawne przeświadczenie, że jak coś „stało” w kurierze albo w kalendarzu, to na pewno jest prawdziwe, bo było zapisane.

Choć oczywiście i tam zdarzały się bałamuctwa i niepotwierdzone wiadomości. Nawet w encyklopediach pojawiały się fejki. Kiedy weźmiemy „Nowe Ateny” księdza Chmielowskiego, to wiemy, ile tam było fejków na temat chociażby niesamowitych zwierząt czy dziwnych ludzi, którzy żyją w różnego rodzaju krainach. Także ogromna część teologii – oparta na wydumanych, ale przemawiających do wyobraźni sformułowaniach – była swojego rodzaju fejkami. Tak jest, że wierzymy w to, w co chcemy wierzyć. Szukamy tego, co chcemy znaleźć. Sensacja jest dla nas czasami ważniejsza nawet niż sprawdzalność, a na tym tracą rzetelność i wiarygodność. Ale kto wie, czy są to w tej chwili najważniejsze cechy, które chcemy przypisać wiadomościom?

”
W kontekście słowa „fejk” chciałbym zwrócić uwagę na jedną rzecz. Uważam używanie takich słów za fraśne, ale nieco ryzykowne. Gdybyśmy nazywali to kłamstwami, to mielibyśmy do tego stosunek jednoznaczny, natomiast gdy mówimy o fake newsach, to może jeszcze nie w pełni je akceptujemy, ale mówimy: „no to taki gatunek”

Groźniejsze jest w internecie słownictwo nacechowane emocjonalnie czy raczej profesjonalne, które daje wrażenie wypowiedzi eksperta?

W drugim przypadku skłonni jesteśmy uważać, że jeśli jest to nieprawdziwe, ma więcej wspólnego z oszustwem, manipulacją, bo to pierwsze, emocjonalne słownictwo przepuszczamy przez filtr poznawczy i wydaje nam się, że jest to wynik albo ludzkiej pomyłki, albo nadmiernego przejęcia się, jakiegoś szczególnego stanu. Natomiast teksty ubrane w słownictwo, które ma pokazywać kompetencje, część osób, tych bardziej naiwnych, skłonna jest uważać za bardziej prawdziwe.

Fake newsy, a może lepiej powiedzieć: świadome kłamstwa, można nazwać nową odmianą retoryki? Umiejętnym przemycaniem nieprawdy?

Retoryka bardzo często była kojarzona z nieprawdą. Czasem używano tego słowa po to, żeby pokazać, że jakaś wypowiedź ma na celu manipulację. Ale chciałbym zwrócić uwagę na coś trochę innego w kontekście słowa „fejk”. Uważam używanie takich słów za trafne, ale nieco ryzykowne. Gdybyśmy nazywali to kłamstwami, to mielibyśmy do tego stosunek jednoznaczny, natomiast gdy mówimy o fake newsach, to może jeszcze nie w pełni je akceptujemy, ale mówimy: „no to taki gatunek”. Kiedyś przeprowadziłem zajęcia na temat hejtów i jeden ze studentów przyznał się, że jest hejterem. Gdyby powiedział, że jest nienawistnikiem, byłoby to bardzo dziwne, ale nic nie przeszkadzało mu uznać siebie za hejtera. Słowo „hejt” trochę nas niestety oswaja z agresywnością wypowiedzi i pokazuje, że jest to gatunek wypowiedzi. Może go nie lubimy, może on nam się nie podoba, ale on jest, istnieje. Podobnie jest z „fejkami” – one zastępują „kłamstwa”.

Czy według pana słowo to najcięższa broń?

To metafora, ponieważ słowo i broń to są rzeczy trochę inne, natomiast ich funkcje bywają podob-

”
Wydaje mi się, że wolność słowa to nie jest kwestia do dekretnowania, lecz pewnych zwyczajów i rytuałów, które rodzą się z długotrwałej tradycji i które sprawiają, że ludzie nie chcą innym ludziom robić przykrości i wyrządzać krzywdy albo wręcz uważają to za niedopuszczalne. Ale do jakiego stopnia możemy wyznaczać te granice?

Inaczej mówimy o kłamstwie wtedy, gdy mamy do czynienia z opowiadaniem o jakichś zdarzeniach, których nie było, które były czymś zupełnie innym. Wtedy możemy powiedzieć: „kłamiesz, to nie było tak”. Ale jeżeli powiem, że coś jest grube, co ktoś inny uznałby za chude, to jest kwestia mojej interpretacji. W przypadku opisywania kłamstwo w ścisłym sensie nie odgrywa roli. Natomiast inaczej jest z rzeczownikami, z nazywaniem. Mogę oczywiście uważać, że nazwanie kogoś łotrem jest kłamliwe, ale czy to jest kłamstwo? To nie o to chodzi, ponieważ ja używam nazwy, a nazwy mogą być nieadekwatne, mylące, ale nie powiemy, że nazwa kłamie.

Gdy mówimy o walce z fake newsami, nasuwa się ważna kwestia wolności słowa. Jak walczyć z kłamstwem, jednocześnie nie ograniczając języka?

To jedna z najtrudniejszych i najważniejszych spraw. Gdy czasami myślimy o tym, że ludzie nadmiernie korzystają z wolności, to gdzieś czai się wstępna akceptacja dla cenzury. Czy powinna być cenzura obywatelska, polityczna, ekonomiczna, religijna? Wszystko zależy od intencji i od wrażliwości. Od intencji – czy ja chcę zrobić coś złego, i od wrażliwości – czy ten, komu to mówię, lub ten, do kogo piszę, jest dostatecznie uodporniony na różnego rodzaju słowa czy zdania. Chciałoby się z jednej strony nieograniczonej wolności słowa: mogę mówić i pisać, co tylko mi się żywnie podoba. Tak to bywa w doktrynach bardzo liberalnych, że granicą mojej wolności jest granica twojego nosa. Wydaje mi się, że nie jest to kwestia do dekretnowania,

ne. Dla mnie ciężka broń to rakiety i czołgi. Słowa, zdania, wypowiedzi oczywiście mogą służyć temu, by atakować, bronić, czasem zdobywać przestrzeń, dominować. Natomiast aforyzmy takie jak „słowo to najcięższa broń” są jako metafory często przesadne. Język służy nazywaniu, opisywaniu i opowiadaniu. Rzeczownikami nazywamy, przymiotnikami opisujemy, czasownikami opowiadamy. Oczywiście w uproszczeniu.

lecz pewnych zwyczajów i rytuałów, które rodzą się z długotrwałej tradycji i które sprawiają, że ludzie nie chcą innym ludziom robić przykrości i wyrządzać krzywdy albo wręcz uważają to za niedopuszczalne. Ale do jakiego stopnia możemy wyznaczać te granice? Według mnie samo sformułowanie „granice wolności” jest swojego rodzaju oksymoronem, bo jeżeli mówimy o wolności, to nie możemy mówić o granicach. Ograniczona wolność to sprzeczność sama w sobie i tak wpadamy w pułapkę. Uważam jednak również, że wolność nie jest wcale – jak wydaje się niektórym – wartością absolutną, nie jestem jej piewcą.

Poza namysłem do sformułowania mądrej wypowiedzi potrzebne są również inne elementy. Jak mówić, by mówić prawdę, by mówić zrozumiale, by mówić z sensem?

Myśl, kiedy mówisz, myśl o tym, o czym mówisz, i słuchaj siebie. Jesteś swoim pierwszym słuchaczem, powinieneś akceptować to, co mówisz. Mówiąc, mówisz w ogromnej części do siebie, jesteś uzależniony od siebie jako słuchacza i ty jako słuchacz od siebie jako mówcy. Mówiąc, myśl o tym, co mówisz, i słuchaj tego, co mówisz. I oczywiście czytaj to, co piszesz. ■

SUPLEMENT 1

W obronie bezbronnego odbiorcy

Gdy jakaś informacja nas wzburzy, nie przekazujemy jej od razu dalej w mediach społecznościowych. Warto się uspokoić, znaleźć ją w innym medium, poszukać źródła.

Nie dajmy się ponieść emocjom – apelują **BEATA BIEL I BRYGIDA GRYSIAK**

Co sprawia, że fake newsy przybierają na sile w takich momentach jak pandemia koronawirusa?

Beata Biel: Odkąd dowiedzieliśmy się, że koronawirus pojawił się w Chinach, a potem w kolejnych krajach, w tym w Polsce, obserwujemy ogromną falę dezinformacji, która zalała głównie internet. Dlaczego teraz i tak intensywnie? Ponieważ fałszywe informacje – zarówno celowe fake newsy, jak i nieintencjonalne informacje wynikające z niedoinformowania – pojawiają się zwykle wtedy, gdy ludzie czują strach, niepewność. Każdy internauta ma do czynienia z Covid-19, to dotyka nas wszystkich. Dlatego potrzeba szukania informacji i dzielenia się nimi jest potężna. A to sprawia, że czasami – działając pod wpływem emocji – powielamy nieprawdę. To także czas, gdy w intencjonalnych fake newsach pewne podmioty dostrzegają możliwość osiągnięcia własnych celów, na przykład zarobienia na niepewności i strachu ludzi. Często fake newsy kojarzymy z polityką, ale one od dawna dotyczą zdrowia. Długo nie mieliśmy tej świadomości, ale teraz stykamy się z nimi wszyscy, globalnie. W portalu Konkret24, gdzie zawsze mamy dużo pracy, zgłoszeń od użytkowników jest jeszcze więcej, ludzie pytają, czy w zalewie informacji ta, którą właśnie dostali, jest prawdziwa. To niezwykle ważne, że użytkownicy mediów szukają potwierdzenia, dopytują.

Brygida Grysiak: Te trendy nie dotyczą tylko Polski, to zjawisko globalne. Natomiast warto zwrócić uwagę, że rośnie liczba użytkowników, którzy chcą płacić za zweryfikowane i pogłębione treści. Na fali strachu i dezinformacji pandemicznej ludzie szukają wiarygodnych informacji. W odpowiedzi na tę



TVN, MATERIAŁY PRASOWE

BEATA BIEL – dyrektor działu rozwoju i premium news digital w TVN Grupa Discovery, odpowiedzialna za serwis factcheckingowy Konkret24



TVN, MATERIAŁY PRASOWE

BRYGIDA GRYSIAK – zastępca redaktora naczelnego TVN 24 i redaktor ds. standardów i dobrych praktyk dziennikarskich w TVN Grupa Discovery

potrzebę zdecydowaliśmy w TVN 24, że walkę z fake newsami przeniesiemy z internetu także na antenę i zmierzmy się z nimi w programie „Koronawirus Konkret24”, który nawiązuje do naszego portalu factcheckingowego Konkret24. Odkłamujemy w nim wszystko, co niebezpieczne, a na co w sieci narażeni są odbiorcy. Tak widzimy naszą rolę. Z pomocą ekspertów i osób, które walczą na pierwszej linii frontu, mówimy widzom, jak jest naprawdę.

Informacji nieprawdziwych dotyczących koronawirusa pojawia się mnóstwo. Które z nich są szczególnie niebezpieczne?

Beata Biel: Najniebezpieczniejsze to te, które na pierwszy rzut oka wydają się być poradami zdrowotnymi. Niektórym mogą wydać się nawet śmieszne, ale śmieszne nie są, a w sytuacji gdy są realnie brane pod uwagę, mogą negatywnie wpłynąć na zdrowie ludzi. Jak na przykład, że picie dużej ilości wody wypłukuje koronawirusa lub spożywanie alkoholu zapobiega zachorowaniu na Covid-19. Równie niebezpieczne jest sugerowanie, które leki pozwalają zwalczać koronawirusa – niepoparte wiedzą medyczną i zaleceniami lekarskimi. Inny przykład to twierdzenie, że noszenie maseczek jest niebezpieczne dla naszego zdrowia.

W przekazach tych przywoływane są twierdzenia i opinie, które nie mają nic wspólnego z prawdą. Wyjaśniamy to w Konkret24. Ważne, by tłumaczyć to obrazowo, choćby podając przykład lekarzy, którzy spędzają w maseczkach długie godziny – działa się tak także przed pandemią – i nie wpływa to źle na ich zdrowie. Równie groźne są fałszywe twierdzenia o tym, że koronawirus nie istnieje i że możemy swobodnie spotykać się ze znajomymi. Takie informacje zagrażają nie tylko zdrowiu poszczególnych osób, ale i zdrowiu publicznemu.

Co warto podkreślić, rzadko to jedna osoba, która się boi, zaczyna szukać informacji o tym, jak zapobiegać koronie wirusowi, i podaje dalej znalezione w sieci

informacje. Zdarza się, że setki, a nawet tysiące osób wychodzą na ulice i krzyczą, że wirusa nie ma. To dzieje się nie tylko w Warszawie, lecz również w Berlinie czy w Waszyngtonie.

Brygida Grysiak: Tu pojawia się nasza rola i odpowiedzialność. Odkąd świat walczy z pandemią, znaczna część czasu antenowego jest poświęcona poradnictwu opartemu na opiniach wiarygodnych ekspertów i źródłach. Po to, żeby odbiorcy mieli wiedzę, czuli się zaopiekowani i potrafili sobie radzić w sytuacji, gdy w sieci będą się spotykać z dezinformacją. Warto szukać wieloźródłowych opisów sytuacji, szczególnie gdy mowa o zdrowiu. Dobrze też mieć świadomość, że za dezinformacją często stoją po prostu interesy. Odbiorcy powinni wiedzieć, że po drugiej stronie nie zawsze jest inny zagubiony człowiek, który powiela niepotwierdzoną informację bez złych intencji. Niekiedy są to grupy interesów i ktoś zarabia na tym pieniądze.

Mamy w mediach różne poglądy, doświadczenia, emocje i aby wypracować odpowiednie mechanizmy, procedury, musimy rozmawiać. Po to, by skupiać się na faktach, na wiarygodnym, potwierdzonym w kilku źródłach przekazie. Dziś nie warto ścigać się tylko na newsy. One też są ważne, ale wyzwaniem dla mediów jest jakość i wiarygodność

Jaką rolę odgrywają w tym dziennikarze? Czy istnieje szansa, że zmęczeniu i zagubieni w gąszczu niepewnych informacji odbiorcy powrócą do mediów tradycyjnych?

Brygida Grysiak: Są badania, z których wynika, że ponad połowa polskich internautów styka się w internecie z manipulacją

i dezinformacją. To punkt wyjścia do rozmowy o roli tradycyjnych mediów. Tradycyjnych, czyli profesjonalnych, za którymi stoi warsztat, standardy i dobre praktyki pracy dziennikarskiej oraz ludzie znani z imienia i nazwiska. Dużych redakcji, które mają kapitał wiarygodności. Mediów, którym widzowie, czytelnicy po prostu ufają.

Analizujemy nasze wyniki oglądalności. W kluczowych, zwrotnych, czasami dramatycznych momentach, gdy pojawia się ważna informacja, oglądalność rośnie i widzowie z nami zostają. To pokazuje, że jest w nich chęć dotarcia do wiarygodnego przekazu. Sposobem na to jest powrót do źródeł, do dyskusji o tym, co, kiedy i w jaki sposób relacjonujemy.

Mówię o dyskusji, ponieważ rozmowa – na którą w pędzie informacyjnym rzadko mamy czas – jest konieczna.

Mamy w mediach różne poglądy, doświadczenia, emocje i aby wypracować odpowiednie mechanizmy, procedury, musimy rozmawiać. Po to, by skupiać się na faktach, na wiarygodnym, potwierdzonym w kilku źródłach przekazie. Dziś nie warto ścigać się tylko na newsy. One oczywiście też są dla nas ważne, ale wyzwaniem dla mediów jest jakość i wiarygodność.

Przeglądamy się, jak z dezinformacją radzą sobie za granicą. Biorąc pod uwagę siłę i znaczenie mediów, ważne są doświadczenia z rynku brytyjskiego i amerykańskiego. Od kilku lat współpracujemy z ekspertami z The George Washington University, z którymi wymieniamy doświadczenia nie tylko dotyczące standardów dziennikarskich, ale także sposobów weryfikacji informacji, wyzwań, jakie przed nami stoją, także w związku ze zmianą warunków uprawiania zawodu dziennikarza.

Beata Biel: Ważne, by walczyć z dezinformacją, nie demonizować internetu. Sieć staje się coraz bardziej jakościowa. Pandemia pokazuje, że ludzie łakną sprawdzonych informacji zarówno w telewizji, jak i w internecie. Oczywiście korzystają z mediów społecznościowych, chcą być w kontakcie ze znajomymi, ale informacje, które znajdują w sieci, weryfikują potem w mediach tradycyjnych. To budujące, że w dobie pandemii widzimy, jak w mediach tradycyjnych i internetowych rośnie ruch, bo to znaczy, że ludzie chcą się doinformować. Czas pandemii pokazuje także, że odbiorcy chętniej korzystają z treści płatnych. Płacenie za informacje oraz sięganie po tzw. long-formy i sprawdzone portale świadczy o tym, że internet może być i jest dobry. Nie należy utożsamiać powrotu do mediów tradycyjnych z odchodzeniem od internetu. Internet może być wartościową platformą i jako media powinniśmy o to dbać.

Co poza celami komercyjnymi chcą osiągnąć twórcy nieprawdziwych informacji?

Brzydga Grysiak: To mogą być podteksty społeczne lub polityczne, może chodzić o to, byśmy zmienili

Kluczowa jest świadomość, że ktoś może dezinformować celowo i ma w tym interes. Pytanie, komu to służy, zawsze pobudza wyobraźnię i każe myśleć krytycznie. Z doświadczenia wiem, że dobrym testem – nie tylko w sytuacji styczności z fake newsem – jest zadanie sobie pytania: czy na pewno mam rację? Gdzie jeszcze mogę to sprawdzić?

decyzję, postawę, opinię na jakiś temat. To forma presji, szkodliwej społecznie dlatego, że opartej na nieprawdzie, półprawdzie, manipulacji, dezinformacji. Aby się jej skutecznie przeciwstawić, musimy działać kompleksowo, poprzez antenę, portal i media społecznościowe. Musimy budować relacje z odbiorcami, by sprawdzali, weryfikowali.

We wrześniu redaktor naczelny „The Washington Post” rozesłał do swoich

pracowników pięć złotych zasad publikowania informacji odnoszących się do materiałów, które pojawiły się w przestrzeni publicznej w wyniku wycieku danych albo działań hakerskich. To tylko jedna z kwestii, o których dyskutujemy, ale wszystko sprowadza się do weryfikacji. Nawet gdy pojawia się informacja z afiliacją polityczną, nie znaczy to, że musimy ją publikować. Jesteśmy sitem dla odbiorców i bierzemy odpowiedzialność za emitowane materiały.

Ważne, żeby w takich sprawach nie ścigać się z konkurencją. To, że konkurencja coś pokaże, nie znaczy, że my też musimy to zrobić. Relacje, które budujemy z widzami, są na długie lata. Wiarygodności i zaufania odbiorców nie można zdobyć raz na zawsze. Formą walki z dezinformacją jest także dbanie o różnorodność, ponieważ wbrew temu, co czasem próbuje nam się wmówić, świat i ludzie nie dzielą się bipolarnie. Musimy dywersyfikować źródła oraz opinie, ponieważ wtedy nasi odbiorcy dostają szerszy kontekst.

Beata Biel: Dzisiaj walutą jest zaufanie i ważne, by dbać o nie na każdym etapie pracy. Musimy być odpowiedzialni za słowa. Dbalność o odbiorcę i zapewnienie mu poczucia bezpieczeństwa informacyjnego przyświecają nam non stop. Istotne jest także to, by dostrzegać, że odbiorca może dziś dotrzeć do naszych treści wszędzie; w telewizorze, na komórce, tablecie czy komputerze. Jedni poszukują newsów na portalu, inni w mediach społecznościowych. Musimy dbać o jakość i rzetelność w każdym z tych miejsc oraz pamiętać, że nasi odbiorcy się zmieniają. Staramy się dostosować do ich potrzeb, nowych czasów i wyzwań.

Brygida Grysiak: Wszyscy jesteśmy teraz w trudnej sytuacji, boimy się o siebie i bliskich. Weryfikowanie informacji to element troski o widza, odbiorcę. Nierzadko jest bezbronny wobec fali dezinformacji. Dlatego chcemy być tymi, którzy pomagają, pełnią rolę przewodnika.

„Rzeczpospolita” jako lider wiarygodności stara się przy publikowaniu informacji przestrzegać najwyższych standardów. Chcemy też wspierać odbiorców w odnalezieniu się w świecie informacji, bo przecież nie tylko my je tworzymy. Jaka jest rada dla odbiorców, którzy chcą się ustrzec fake newsów?

Beata Biel: Zawsze, gdy jakaś informacja nas wzburzy, zaniepokoi, wzbudzi intensywne emocje, warto odczekać, uspokoić się, znaleźć ją w innym medium, poszukać źródła, poszerzyć wiedzę na dany temat. Nie dajmy się ponieść emocjom, nie przekazujemy takiej informacji w mediach społecznościowych czy wiadomościach do bliskich. Warto też wyjść ze swojej bańki informacyjnej, rozmawiać z ludźmi o różnych poglądach. Sięgać po sprawdzone, uznane źródła. Ale także uczyć się internetu, nie bać się go i poznać ogromne możliwości, jakie daje. W każdym artykule na Konkret24 dajemy podpowiedzi, z jakich narzędzi korzystać podczas weryfikacji informacji. Zawsze starajmy się odbierać informacje na chłodno i przynajmniej na podstawowym poziomie je weryfikować.

Brygida Grysiak: Kluczowa jest świadomość, że ktoś może dezinformować celowo i ma w tym interes. Pytanie, komu to służy, zawsze pobudza wyobraźnię i każe myśleć krytycznie. Z doświadczenia reporterskiego wiem, że dobrym testem – nie tylko w sytuacji styczności z fake newsem – jest zadanie sobie pytania: czy na pewno mam rację? Gdzie jeszcze mogę to sprawdzić? Czy nie powinienam dowiedzieć się czegoś więcej? I w końcu bardzo ważne jest, żeby nasi widzowie tych dodatkowych informacji szukali i mogli je znaleźć u nas. ■

SUPLEMENT 2

Łatwiej szerzyć kłamliwe informacje, niż przyswajać prawdziwe

Covid-19 pokazał nam, że musimy wyjść poza ramy myślenia o dezinformacji wyłącznie w kategorii politycznej czy militarnej. To dotyczy także naszego życia i zdrowia
– przekonuje **CHRISTOPHER WYLIE**

Na czym w skrócie polegała afera z Cambridge Analytica (CA)?

Myślę, że był to pierwszy na świecie przykład powszechnego użycia propagandy opartej na algorytmie. Pierwszy raz w historii informacje psychologiczne o internautach i ich aktywności w sieci posłużyły do wpływania na światowe potęgi. W tym przypadku na amerykańskie wybory prezydenckie z 2016 r.

Kiedy zdał pan sobie sprawę, że to właśnie dane są kluczem do wpływania na politykę?

Najpierw pracowałem w firmie Strategic Communication Laboratories Group (SCL Group), która później współtworzyła CA. Jednym ze zleciennodawców SCL była brytyjska armia. Moim zadaniem było badanie w sieci działań grup ekstremistycznych. Dotyczyło to głównie śledzenia aktywności internetowej młodych mężczyzn, którzy nie założyli rodziny, ale jednocześnie wpływali na swoich znajomych, bo to oni byli potencjalnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa państwa. Monitorowałem też to, w jaki sposób konkretna informacja roznosi się wśród danej grupy i jaki jest typowy profil osoby, która jest najbardziej skłonna do przekazywania jej dalej. Miałem też znaleźć odpowiedź na pytanie, czy możliwe jest zarządzanie taką informacją.

Działo się to w czasie, kiedy tzw. Państwo Islamskie było u szczytu swoich możliwości. ISIS wykorzystywało internet do rekrutowania członków, planowania spotkań – właściwie cała ich organizacja odbywała się online. Tradycyjne metody obrony przed zagrożeniem terrorystycznym nie były już więc wystar-



PAP/EPA

CHRISTOPHER WYLIE – były dyrektor ds. badań w firmie Cambridge Analytica, który ujawnił jej nadużycia związane m.in. z udziałem w kampanii wyborczej Donalda Trumpa w 2016 r.

czające. Generalowie myśleli o pociskach, okrętach, uzbrojonych po zęby żołnierzach, ale w dzisiejszym świecie takie metody niekoniecznie zdają egzamin. Jest cała masa rzeczy, dzięki którym możemy uzyskać dostęp do informacji o ludziach, którzy mogą stwarzać zagrożenie.

Pewnego dnia szef naszej firmy Alexander Nix spotkał się z późniejszym doradcą prezydenta USA Steve'em Bannonem, który chciał dołączyć do naszego zespołu. To właśnie Steve wpadł na pomysł wykupienia firmy przez Roberta Mercera – nowojorskiego miliardera, prezesa Renaissance Technologies, czyli najbardziej dochodowego funduszu inwestycyjnego. I wtedy wszystko się zmieniło. Wcześniej tłumaczyłem sobie, że moje

badania są elementem obrony kraju, wpływają na bezpieczeństwo ludzi, nawet jeśli nruszają ich prywatność. Ale wystarczyło, że firma została wykupiona, by zniszczyć tę zasadę. Powstało Cambridge Analytica i te same mechanizmy – czyli śledzenie aktywności w sieci młodych mężczyzn, którzy nie założyli rodziny i mieli tendencję do wpływania na innych – zostało wykorzystane w USA.

W jakim celu?

Wiele mechanizmów, które wypracowaliśmy, nie było stworzonych po to, by wpływać na demokrację innych krajów. Pierwotnie powodem była obrona kraju oraz zwalczanie grup terrorystycznych. A kiedy pracujesz po to, by zapewnić bezpieczeństwo ludzi, i kiedy jesteś przekonany, że są to działania skierowane przeciwko terrorystom, to nie masz oporu przed stosowaniem manipulacji, oszustw, gróźb... Potencjalnym celem jest rekruter ISIS, możesz więc robić właściwie wszystko, co jest konieczne i mieści się w kategorii informacji, która może zapewnić bezpieczeństwo. Jednak w demokratycznym ustroju, kiedy tylko zaczniesz manipulować i oszukiwać ludzi, to oni nie będą w stanie w pełni podejmować własnych decyzji jako wyborcy.

Pytał mnie pan o to, kiedy zdałem sobie sprawę, jaki jest mój wpływ na wybory. Myślę, że to było właśnie wtedy, gdy firma została wykupiona i zaczęliśmy pracę nad „targetowaniem” Amerykanów. I nawet nie chodziło o same wybory, i o to, by wygrał Donald Trump, ale po prostu o to, by zradycyzować amerykańskie społeczeństwo. To jest niezwykle ważna sprawa, której wciąż nie jesteśmy do końca świadomi zarówno w USA, jak i w Europie. To jest problematyczne nie tylko w sytuacji, gdy patrzymy na ruchy polityczne, ale też w przypadku grup społecznych, które stają się coraz radykalniejsze czy nawet ekstremistyczne, a wszystko to napędzane jest aktywnością w sieci. Dopóki nie zdamy sobie z tego sprawy, nie będzie możliwe rozwiązanie problemu.

Ale czy CA była potrzebna, by radykalizować nasze społeczeństwa? Tristan Harris, były informatyk Google’a, mówił ostatnio, że aż 64 proc. ludzi przylacza się do radykalnych grup na Facebooku (FB) nie dlatego, że tego chcą, ale dlatego, że zostały im zarekomendowane przez samego FB. Może wystarczą same media społecznościowe, byśmy się radykalizowali?

Cambridge Analytica działała tylko i wyłącznie dzięki algorytmom FB. To jest pierwsza rzecz, którą tłumaczę ludziom. Algorytmy FB są w całości połączone z mechanizmami, które najmocniej nas angażują w sieci. Ludzie, ewoluując, uczyli się zwracać uwagę na zagrożenia. Od tysiącleci to właśnie ten mechanizm pomaga nam przetrwać nawet w najbardziej niesprzyjających warunkach. Wyobraźmy sobie

”
**Przemysł informatyczny
związany z tworzeniem nowego
oprogramowania jest jedynym
na świecie, który nie podlega
regulacjom – nie ma żadnej
władzy, która nadzorowałaby
ich pracę. Ten, kto tworzy
algorytmy, stoi właściwie ponad
prawem, nawet jeśli doprowadza
do krzywdy wielu ludzi**

jaskiniowca, który widział przed sobą trupa i piękny wschód słońca. Ten wschód słońca może i był ujmujący, ale i tak nasz jaskiniowiec nie mógł odwrócić wzroku od trupa. Bo jeśli ktoś zabił tego człowieka, to jaskiniowiec ma świadomość, że może zabić także i jego. Ludzie są po prostu stworzeni w taki sposób, by zwracać uwagę na zagrożenia albo rzeczy, które ich niepokoją.

To dlatego rzeczy ekstremalne i budzące nasz

niepokój będą na celowniku takich firm jak Facebook. Celem algorytmów jest po prostu to, aby zebrać jak największą liczbę kliknięć i zmusić ludzi do ciągłego odświeżania stron, aby pokazać im nowe reklamy. Ekstremalnie niepokojące strony będą generowały największe zaangażowanie nie tylko po to, by zdobyć jednorazowe kliknięcia, ale po to, by stworzyć długotrwałe zaangażowanie i żeby na tę witrynę wracać.

I tu pojawia się problem: tworzymy sztuczną inteligencję, która wpływa na dane grupy, ale wcale nie myślimy o tym, jakie skutki może to przynieść dla społeczeństwa. To dlatego radykalizowanie się grup na Facebooku jest tak silne, bo ta platforma nie jest zaniepokojona tym, jakie mogą być negatywne skutki jej działalności. Nawet jeśli algorytmy Facebooka pomagały np. ISIS, by rekrutować nowych członków.

Brytyjskie władze oskarżały YouTube'a o to, że pomaga radykalizować młodych ludzi.

Oczywiście. Mówimy teraz o Facebooku, ale wiele platform internetowych, takich jak YouTube, Twitter, Instagram itp., ma z tym problem. Mówię o tym w kategorii problemu, bo niewielu ludzi jest zaniepokojonych tym, że każdy ich ruch w sieci może być wykorzystany do tworzenia algorytmów.

Kiedy spojrzymy na każdą inną technologię przemysłową – bez znaczenia, czy jest to przemysł lotniczy, kosmiczny, energetyczny, farmaceutyczny czy jakikolwiek inny – zanim jakikolwiek produkt oferowany przez firmy działające w danym sektorze zostanie wypuszczony na rynek, musi przejść testy bezpieczeństwa. A tutaj nie istnieją żadne regulacje, które czuwałyby nad bezpieczeństwem oprogramowań. Panuje takie przeświadczenie, że internet powinien być wolny od wszelkich ograniczeń, zasad czy wpływów zewnętrznych. Ja jednak nie jestem przekonany, że wszystkie chwytły w tej grze są dozwolone. A z czasem oprogramowanie Facebooka stało się ważniejsze od ludzi, którzy tworzą tę społeczność. To jest takie niepisane prawo do krzywdzenia ludzi po to, by ulepszyć swoją technologię. Sprawa Facebooka i Birmy (Myanmaru) z 2018 r. jest najlepszym przykładem tego, jak platforma została wykorzystana jako narzędzie szerzenia mowy nienawiści przeciwko mniejszości etnicznej.

Opisano to w raporcie ONZ z 2018 r. Chodziło o ludobójstwo Rohindżów – birmańskiej mniejszości muzułmańskiej, zamieszkującej zachodnią część kraju.

Nie było żadnej kary dla Facebooka za to, że doprowadził do tej zbrodni. A dlaczego? Bo nie ma prawa, które by to regulowało, więc formalnie Facebook prawa nie złamał. Nie ma żadnych zasad, więc można tworzyć mechanizmy, które stają się narzędziami napędzającymi etniczną nienawiść. Nie ma żadnych zasad, więc firmy nie czują się w obowiązku, by coś zmienić. Co więcej, nie ma żadnej presji globalnej, która nakłaniałaby te firmy do większej odpowiedzialności za swoje działania.

Jestem programistą i nie chcę, żeby moje wynalazki krzywdziły ludzi. I myślę, że większość ludzi, którzy tworzą oprogramowanie, nie chce krzywdzić innych. Jeśli jesteś np. architektem i projektujesz budynki, to jedną z rzeczy, które musisz sobie wyobrazić, jest

pożar. Musisz zadać sobie pytanie, co się stanie, jeśli ten budynek stanie w płomieniach? Jakie mechanizmy powinny zadziałać, żeby ludzie mogli uciec z tego budynku? Z jakiego materiału należy skorzystać? Przygotowujesz się na taką ewentualność. I część architektów rzeczywiście o tym myśli, ale pozostali czekają na rozwiązania prawne, które np. zakażą im pewnych czynności. Część pokazuje swoje plany władzom publicznym, które chcą je przejrzeć i sprawdzić pod kątem zapewnienia ludziom bezpieczeństwa.

W sieci taka odpowiedzialność nie istnieje?

Przemysł informatyczny związany z tworzeniem nowego oprogramowania jest jedynym na świecie, który nie podlega takim regulacjom – nie ma żadnej władzy, która nadzorowałaby ich pracę. Ten, kto tworzy algorytmy, stoi właściwie ponad prawem, nawet jeśli doprowadza do krzywdy wielu ludzi.

Myślę, że firmy informatyczne wcale nie mają zamiaru wycofywać się ze stosowania takich rozwiązań. Tym bardziej że nikt im tego nie zabrania. Cambridge Analytica to tylko wierzchołek góry lodowej. Bo my właściwie byliśmy małą firmą na globalnym rynku – na świecie jest wiele krajów, wiele z nich może nawet w tym momencie korzystać z takich rozwiązań. A my jako użytkownicy sieci możemy tylko ufać, że firmy, takie jak Google czy Facebook, będą działać w dobrej wierze i nie będą wpływać na procesy demokratyczne w USA, Polsce czy gdziekolwiek indziej.

Jak dokładnie działała Cambridge Analytica?

Wielu ludzi nie rozumie roli psychometrii w tych procesach. Rola profilowania psychologicznego bazującego na algorytmach sieciowych została odkryta jeszcze przed Cambridge Analytica. Początkowo wynikała z chęci zrozumienia, kto i dlaczego ma skłonność do radykalizowania się i w jaki sposób wpływa to na resztę społeczeństwa. Było to połączenie profilowania demograficznego, gdzie zwracano uwagę na wiek, płeć czy powiązania rodzinne, oraz profilowania psychologicznego, gdzie celem było wyłowienie osobowości paranoicznych, neurotycznych, skłonnych wpadać w stany lękowe. Jak się okazało, te cechy miały statystycznie istotne odzwierciedlenie w tym, jak ludzie angażują się w media społecznościowe.

Pytanie było, jak znaleźć takie osoby pośród miliardów użytkowników sieci? Żeby to uprościć,

posłużyć się przykładem. Jeśli idziesz na pierwszą randkę i chcesz się dowiedzieć o drugiej osobie czegoś więcej, najwyczejniej w świecie pytasz o wszystkie interesujące cię kwestie. To pozwala ci zdobyć bardziej dokładny opis tej osoby, którą będziesz mógł sprofilować do własnych oczekiwań. Zadajesz zatem pytania, jakiej słucha muzyki, jakie programy telewizyjne lubi, jak spędza wolne weekendy itd. W sieci te wszystkie informacje o nas już są – algorytm obserwuje każdego użytkownika platformy, analizuje jego kliknięcia, reakcje, treści zamieszczone na tablicy lub podane dalej.

Tak odbywa się profilowanie użytkownika.

Celem Cambridge Analytica było wyszukiwanie osób znajdujących się niejako na marginesie społeczeństwa, które charakteryzowały się wiarą w teorie spiskowe, były neurotyczne, łatwo wpadały w gniew. To niewielka grupa – stanowi 1–2 proc. populacji. Kiedy już udało się je znaleźć, następowało „targetowanie” treści. Pokazywano tym ludziom reklamy albo zachęcano ich, by dołączały do proponowanych grup. Kiedy już udało się zgromadzić pewną liczbę użytkowników, zaczynała się dyskusja – czyli np. przekazywanie wiadomości czy linków, które niekoniecznie pochodziły od faktycznie istniejących ludzi, a częściej od botów. To był etap budowania zaufania do treści zamieszczanych w tej grupie. Później można było stosować już powszechnie znane mechanizmy manipulacji, często oparte na stereotypach. Podawano np. informację w stylu „Czy wiesz, że Obama chce ci zabrać broń?”, „Nie wierzysz, obejrzyj ten film!”, „To przez nich nie możesz znaleźć pracy” itd. Były to głównie treści trafiające do młodych mężczyzn, które nie miały wiele wspólnego z prawdą. Ale były za to łatwe w odbiorze i szybko rozprzestrzeniały się w tej grupie. Tradycyjne przekazy medialne okazywały się w tej walce słabsze, bo przecież wszystkie media mają z góry narzuconą narrację. Tylko w sieci, w mojej grupie na Facebooku potrafię znaleźć zrozumienie.

Wróć na chwilę do ekstremizmów, bo kiedy spojrzymy na dynamikę radykalizowania się ludzi, to widać, że ważnym elementem tego procesu jest odsuwanie ich od wiarygodnych źródeł informacji. W przypadku ISIS rekruterzy zachęcali nowych członków, by przestali słuchać rodziców, krewnych i przyjaciół, którzy mieli ich tłamsić, nie dopuszczać do prawdy.

To chyba dotyczyło nie tylko ISIS. Celem każdej dezinformacji jest obniżanie zaufania do instytucji, mediów, rządu.

To rzecz fundamentalna dla ekstremistycznych grup. Po pierwsze, rekruterzy próbują podkopać zaufanie do wszelkich innych źródeł informacji niż ich własne. Dzięki temu mogą zarażać swoich ludzi danym schematem myślenia i sprawiać, że odrzucają oni wiarygodne źródła informacji. Po drugie, towarzyszy temu przesuwanie granicy od „myślę, że” do „jestem jednym z nich”. W ten sposób zmieniana jest osobowość człowieka, który porzuca swoje przekonania i tożsamość, a zaczyna identyfikować się wyłącznie z grupą. Kiedy do tego dochodzi, zaczyna się powoli zatracać wewnętrzną tożsamość człowieka. A im bardziej podawane są w wątpliwość przekonania takiego człowieka i kwestionuje się jego grupę, to tym bardziej zamyka się on w narzucanych mu poglądach, bo zrozumienie znajduje już tylko i wyłącznie w sieci.

To wzór, który istnieje w grupach ekstremistycznych czy sektach. Cały ten proces został tak obmyślony, aby uniemożliwić wyciąganie członków grupy poza jej krąg. To był też jeden z fundamentów, na którym opierała się kampania Donalda Trumpa w 2016 r.

Kiedy zdałem sobie sprawę z tego, co się dzieje i do czego doprowadziła Cambridge Analytica, miałem poczucie, że to nie jest legalne ani etyczne. Wtedy zdecydowałem się na upublicznienie raportu o działalności firmy.

Jak to się stało, że ktoś taki jak pan, człowiek o liberalnych poglądach, pomagał w tworzeniu takiego narzędzia do kreowania kampanii skrajnej amerykańskiej prawicy?

W 2013 r. firma chciała po prostu prowadzić badania w Stanach Zjednoczonych. I kiedy doszło do przejęcia jej przez Mercera, dostaliśmy miliony dolarów na naszą działalność. Z relatywnie małej, nieznannej firmy z Londynu staliśmy się ogromnym przedsiębiorstwem, które zaczęło zatrudniać rzesze ludzi. Wszystko działało się tak szybko. Pamiętam taką scenę, kiedy zaproszono do firmy grupę ludzi, na których miały być prowadzone badania fokusowe. Byli w niej Amerykanie, których wyłowiono na podstawie ich radykalnych poglądów, którymi chętnie dzielili się w sieci. Pamiętam ich gniew i to, jak zaczęli przekrzykiwać się na temat teorii spiskowych. Wszystko zostało udokumentowane. A oni nawet nie zdawali sobie sprawy, że uczestniczą

w eksperymencie, który później zostanie wykorzystany w wyborach. Dysponowaliśmy dokładnymi opisami tego, jak ludzie reagują na daną informację i co budzi ich największe emocje.

By potem wykorzystać te informacje np. w reklamach albo żeby radykalizować jeszcze więcej ludzi?

Takie były intencje. Firma, którą tworzyliśmy wcześniej, czyli SCL Group, nie była już tą samą firmą, kiedy przemianowano nas na Cambridge Analytica. Na dodatek nie znaliśmy większości pracowników. Byli wśród nich ludzie, którzy wcześniej pracowali na potrzeby Rosji w Europie Wschodniej, np. na Ukrainie. Zatrudnialiśmy też ogromną liczbę psychologów. Wszyscy ci dziwni ludzie zaczęli kręcić się po firmie, a wszystkie te zmiany rozgrywały się na przestrzeni zaledwie kilku miesięcy. Innymi słowy, firma pracująca dla brytyjskiej armii została wykupiona i chwilę później spotykaliśmy w biurze osobę, która jeszcze niedawno wpływała na wybory na Ukrainie. Wtedy właśnie zrozumiałem, że nie chcę już brać w tym udziału. Oczywiście byłem naiwny, sądząc, że moja decyzja przejdzie bez echa. Pierwszą rzeczą, którą od nich usłyszałem, było to, że mnie pozwają.

Kiedyś pracowałem dla ludzi, którzy tworzyli kampanię Baracka Obamy, opowiedziałem im więc, czym zajmuje się ta firma i do czego może to doprowadzić. Nikt się tym nie przejął i odpowiedzieli, że niestety ten świat jest popaprzany. Kiedy Donald Trump wygrał nominację Partii Republikańskiej, reakcje były podobne. Doradcy w Białym Domu, z którymi rozmawiałem, powtarzali, że Hillary Clinton wygra te wybory i nie ma się czego obawiać. Przecież wszyscy wiedzą, że Donald Trump jest podejrzanym biznesmenem, dla którego pracują typy spod ciemnej gwiazdy z całego świata. Hillary Clinton wygra, więc nie chcemy wpływać na wybory informacją o Cambridge Analytica – mówili.

W tamtym momencie pomyślałem sobie: „Dobrze,

pewnie wiecie lepiej ode mnie, co należy robić”. Wszyscy wiemy, jak sprawy potoczyły się dalej. Trump został wybrany na prezydenta, ludzie zaczęli dostrzegać, że istnieje wiele zagrożeń, które przestają być już tylko teoretyczne.

Kiedy mówimy o potencjalnym radykalizowaniu się społeczeństwa, Amerykanie czy Brytyjczycy odpowiadają, że u nich się to nie wydarzy, że takie manipulacje mogą dotyczyć innych krajów, ale nie ich.

A przecież oni są tylko ludźmi – takimi samymi jak w Afryce, Azji czy w Europie. Jednym z powodów, dla których napisałem swoją książkę, było to, że przeżyłem swego rodzaju podróż, w trakcie której wiele się nauczyłem o problemach, które pociągają za sobą

technologie, i o lukach prawnych. To wszystko, o czym rozmawiamy, wydarzyło się tylko dlatego, że nie było żadnych zasad, które by tego zabraniały. A jeśli wciąż nie ma żadnej władzy, żadnych inspekcji czy regulacji, to jestem pewien, że będzie się to powtarzało. Prawdopodobnie będzie nawet jeszcze gorzej, dopóki nie ustanowimy adekwatnego prawa.

W trakcie dochodzenia w sprawie Cambridge Analytica okazało się, że w świetle prawa właściwie nic złego się nie stało. Bo jaki konkretnie przepis został

złamany? Nikt nawet nie pomyślał, że coś takiego może się wydarzyć, więc nie stworzono żadnych procedur prawnych, które mogłyby być zastosowane. Kolejnym problemem było to, które prawo miałyby tutaj zastosowanie (oczywiście jeśli by istniało) – amerykańskie, brytyjskie? Prawo zakłada, że jeśli popełnię zbrodnię, np. zastrzelę kogoś w Wielkiej Brytanii, to będę osądzony zgodnie z brytyjskim prawem. Ale co będzie, jeśli działanie przestępcze dokonało się w sieci? Mamy sprawdzać, gdzie umieszczone były serwery firmy? Przecież one są rozsiane po całym świecie. Gdzie są zatem dane? Są wszędzie i nigdzie. Gdzie w takim razie

„
Jeśli idziesz na pierwszą randkę i chcesz się dowiedzieć o drugiej osobie czegoś więcej, pytasz o interesujące cię kwestie – jakiej słucha muzyki, jakie programy telewizyjne lubi, jak spędza weekendy itd. W sieci te wszystkie informacje o nas już są – algorytm obserwuje każdego użytkownika platformy, analizuje jego kliknięcia, reakcje, treści zamieszczone na tablicy lub podane dalej

zapadały decyzje? Część z nich w Wielkiej Brytanii, część w Europie Wschodniej, część w Ameryce.

Nagle okazało się, iż to jest na tyle skomplikowane, że nawet nie jesteśmy w stanie stwierdzić, gdzie doszło do przestępstwa.

Wtedy też zdałem sobie sprawę, że dane są podobne do pieniędzy, w tym sensie że pieniądze możesz przesyłać z banku A do banku B, a stamtąd do banku C, D itd. Podobnie jest z danymi, które ciągle wędrują po sieci. Każdy z naszych banków może znajdować się w innym państwie, może używać wielu firm przykrywek, a każde z państw może mieć swoje odrębne prawo. Jedna rzecz, która jest dozwolona w kraju A, może być całkowicie zakazana w kraju B. Posługując się dalej analogią pieniędzy, uważam, że to, co zrobiła Cambridge Analytica to było „pranie brudnych danych”. Kiedyś pieniądze też wędrowały z banku do banku bez żadnych regulacji. Ludzie unikali w ten sposób płacenia podatków. Ale z czasem prawo finansowe i podatkowe ewoluowało wraz ze wzrostem liczby coraz to nowszych sposobów na unikanie płacenia podatków. Wytworzyły się zasady, które musiały nadążyć za globalizacją pieniądza i konieczne było ich powszechne użycie. Wracając do sieci, ona także ma zasięg globalny, a dane mają podobne cechy do pieniędzy. Dlatego potrzebne jest stworzenie podstaw prawnych, które uregulują kwestię przestępstw cyfrowych.

Po wybuchu pandemii koronawirusa nasze życie jeszcze bardziej przeniosło się do sieci. Nasz świat nie jest ani realny, ani wirtualny, tylko hybrydowy. Dobry przykład to pieniądze – one istnieją w naszym elektronicznym banku, ale nie są wirtualne, bo mogą kupić za nie realny produkt. Jaki wpływ na te zjawiska będzie miał Covid-19?

Ostatnie miesiące nauczyły nas, że dezinformacja nie jest wyłącznie sprawą związaną z polityką. Media społecznościowe szerzą nieprawdziwe informacje, a te, według ostatnich badań, roznoszą się szybciej niż prawdziwe, oparte na źródłach informacje. To dlatego że rzeczy, które są prawdziwe, często mają szerszy kontekst, tło, trzeba się w nie zagłębić, trochę więcej przeczytać. Łatwo przedstawić to na przykładzie obecnej pandemii. Falszywe informacje są krótkie, angażujące emocje odbiorcy, są krzykliwe. I rzeczywiście są o wiele bardziej angażujące, łatwo je zrozumieć i zaniepokoić się nimi. Ludzie też są bardziej skłonni do dzielenia się takimi informacjami, umieszczają wpisy na swoich tablicach, bo po prostu są na coś wściekli albo czegoś się boją.

Covid-19 pokazał nam więc, że sprawa dezinformacji nie dotyczy już tylko republikanów i Donalda

Trumpa czy też manipulacji przy wyborach w danym kraju. To już nie jest tylko sprawa Amerykanów czy Brytyjczyków. Te platformy zostały zaprojektowane w taki sposób, by częściej i łatwiej szerzyć kłamliwe informacje, niż przyswajać te prawdziwe. A jeśli mamy do czynienia z globalną pandemią, ludzie mogą nawet umierać z tego powodu, że będą źle informowani.

To jest na tyle poważna sprawa, że nie można tego ukrywać. Musimy zatem wyjrzeć poza ramy myślenia o dezinformacji

wyłącznie w kategorii politycznej czy militarnej. To dotyczy także naszego życia i zdrowia. Ale nie chodzi tylko o zdrowie fizyczne. W Wielkiej Brytanii i w USA badania wskazały, że śpimy mniej o godzinę tylko dlatego, że tuż przed zaśnięciem nadal korzystamy ze smartfonów.

Twórcy Netfliksa sami mówią, że sen jest ich wrogiem, bo chcą walczyć o każdą minutę zaangażowania odbiorców.

Co dzieje się ze społeczeństwem, któremu zabierana jest jedna godzina snu w czasie doby? Jak może to wpłynąć na ekonomię? I jakie skutki pociągnie to za

”

Pomyślmy o tym, że istnieje sztuczna inteligencja, która jest zaprojektowana do tego, żeby profilować cię w sieci, i decyduje za ciebie, że jesteś danym typem konsumenta i należysz do pewnego segmentu, zaczyna więc pokazywać ci rzeczy, które będą do ciebie pasować. Jak możemy rozwijać się jako ludzie w środowisku, które decyduje za nas, kim jesteśmy i więcej – kim będziemy?

sobą dla naszego zdrowia psychicznego? Być może osoby, którym zabrano tę godzinę snu, nawet nie będą zdawać sobie z tego sprawy, ale wkrótce może się okazać, że spadnie produktywność całej populacji, co może w realny sposób wpłynąć na ekonomię. Dlatego uważam, że w sprawę prawnego uregulowania funkcjonowania platform internetowych powinny zacząć się angażować rządy państw.

Mamy tu do czynienia z pewną kwestią filozoficzną. Kiedy czytałem pana książkę, przypominały mi się dylematy opisane przez Rogera McNamee, byłego doradcę Marka Zuckerberga, czy prof. Shoshanę Zuboff. W swych książkach twierdzą oni, że ambicje firm technologicznych nie kończą się na angażowaniu ludzi treściami i czerpaniu zysku z reklam. Te firmy chcą stworzyć coś na kształt systemu operacyjnego naszego życia, z którego nie będziemy mogli zrezygnować. Czy rzeczywiście regulacje są w stanie tu pomóc?

To nie jest pytanie teoretyczne. Jeśli spojrzymy na wzór działania wszystkich tych platform, to jest on zawsze taki sam. Chodzi o tworzenie sieci powiązań i uzależnienia użytkowników. Na pozór nie wydaje się to straszne, prawda? Ale kiedy przychodzisz do domu, lodówka obserwuje, co jesz, a kiedy oglądasz telewizję, ekran także monitoruje twoje zachowanie. I właściwie wszystkie urządzenia w domu „rozmawiają” o tobie, komunikują się, wymieniają informacjami na twój temat. W końcu wpływają też na twoje zachowanie. Kiedy wsiadasz do swojego automatycznego samochodu, który zna drogę do twojego biura, może też zdecydować, czy spóźnisz się do pracy, czy nie. I nagle okazuje się, że mamy bardzo problematyczną sytuację, w której coś dziwnego dzieje się z ludzkością, co nie miało miejsca nigdy wcześniej. Wyewoluowaliśmy jako gatunek w pasywnym środowisku – natura oczywiście wpływa na nas, ale naturalny świat nie myśli o nas, nie obmyśla planów, jak wpłynąć na nasze życie. Natura jest pasywna. Różnica polega na tym, że żyjemy w środowisku, które przestało być bierne, bo kontroluje je dzisiaj kilku miliarderów, którzy stworzyli świat, gdzie środowisko planuje i myśli za nas. I to jest właśnie największy problem, kiedy zdasz sobie sprawę, że każdy twój wybór przestaje być zależny tylko od ciebie.

Kiedy mówimy o prywatności, to ona często jest opisywana jako sytuacja, gdy ktoś chce coś ukryć przed innymi. Często powtarzana jest fraza, że jeśli nie masz niczego do ukrycia, to dlaczego się martwisz? Ale prywatność jest czymś więcej – to narzędzie, które wykorzystujemy każdego dnia do tego, by budować swoją osobowość. Dzisiaj jesteś już innym człowiekiem, niż byłeś 10–20 lat temu. I będziesz też inny za następne 10–20 lat. Jesteś inną osobą, kiedy rozmawiasz z kolegami z pracy, a inną, kiedy rozmawiasz z rodziną. Rzecz, która daje ci siłę do tego, by się zmieniać, jest właśnie twoja prywatność. I teraz pomyślimy o tym, że istnieje sztuczna inteligencja, która jest zaprojektowana do tego, żeby profilować cię w sieci, i decyduje za ciebie, że jesteś danym typem konsumenta i należysz do pewnego segmentu, zaczyna więc pokazywać ci rzeczy, które będą do ciebie pasować. Jak możemy rozwijać się jako ludzie w środowisku, które decyduje za nas, kim jesteśmy i więcej – kim będziemy?

Brzmi to jak perwersyjny eksperyment na ludzkości, w którym naprawdę wiele rzeczy może pójść źle.

I kiedy spojrzymy na sprawę Cambridge Analytica, to faktycznie można powiedzieć, że był to nieetyczny eksperyment, który wpływał na zachowania ludzi i ich wybory. Jednak Facebook czy Google to firmy, które mają wystarczająco dużo siły, by pójść krok dalej i wpływać na każdy aspekt naszego życia. I wcale nie muszą zachowywać się przy tym przyzwoicie.

Kiedy tylko wyszła na jaw sprawa Cambridge Analytica, pierwszą rzeczą, którą zrobił Facebook, było za-blokowanie mojego konta. W totalitarnych reżimach, takich jak np. Związek Radziecki, kiedy ktoś sprzeciwiał się władzy, nie znikał tylko fizycznie, czasami taki człowiek znikał nawet z artykułów w prasie czy ze zdjęć, by nie było żadnego śladu po tym, że w ogóle istniał. Korzystałem z mediów społecznościowych przez dziesięć lat i kiedy ujawniłem mediom sprawę CA, nagle mnie wymazano. Moi rodzice nie byli w stanie odnaleźć naszych starych konwersacji. Zdjęcia, które udostępniałem, nagle przepadły. Mamy więc do czynienia z firmami, które dosłownie mogą, ot tak, wymazać twoją obecność z sieci. Może to brzmi głupio czy trywialnie, ale pomyślimy o tym, co może się stać za dziesięć lat, kiedy np. bez tożsamości sieciowej nie będziesz wpuszczany do sklepu, a drzwi budynku, w którym mieszkasz od lat, pewnego dnia się przed

tobą nie otworzą, bo system nie rozpozna twojego profilu społecznościowego i zostaniesz potraktowany jak zwierzę. Dla mnie to trochę przerażające. Zastanówmy się, czy na pewno chcemy żyć w społeczeństwie, które jest pod totalną kontrolą kilku firm.

Jeszcze nie dotarliśmy do takiego scenariusza, ale niestety zmierzamy do jego zrealizowania. Możemy podjąć decyzję, że jako społeczeństwo nie chcemy iść tą drogą i możemy stworzyć granice, dzięki którym te firmy nie zajdą tak daleko. Ale to nie będzie łatwe, bo przecież te korporacje stają się coraz większe i większe, spójrzmy choćby na Amazona. Ich celem nie jest tylko manipulowanie przemysłem, ale także manipulowanie człowiekiem – i w tym momencie wszystko wydaje się już bezsensowne i niepotrzebne, nawet rząd. Bo skoro można wpłynąć z taką łatwością na wybór prezydenta w Stanach Zjednoczonych, to co będzie się działo dalej?

Po tym jak film dokumentalny „Dylemat społeczny” ukazał się na platformie Netflix, „New York Times” skrytykował tę produkcję za rozszerzanie teorii spiskowych. Wszystko dlatego, że bohaterowie dokumentu krytykują platformy społecznościowe za szerzenie teorii spiskowych na prawicy, a sami twierdzą, że platformy społecznościowe i algorytmy rządzą naszym życiem. Taki zarzut można postawić też panu. Przed chwilą powiedział pan, że kilku miliarderów z Doliny Krzemowej chce przejąć kontrolę nad światem.

Oczywiście, można tak to ująć. Ale fakt, że ktoś nazwie mój opis rzeczywistości teorią spiskową, wcale nie oznacza, że nie jest on prawdziwy. Kiedy spotykam się ze sceptycyzmem, zawsze przed oczami mam osoby, które nie wierzą w zmiany klimatu, bo przecież dziś akurat mamy deszczową, zimną pogodę. Kiedy myślimy o przyszłości internetu, to również i przy tej kwestii tego typu argumenty powtarzają się – że to przesada, że przecież tak nie dzieje się teraz. Ale tak samo jak przy rozmowach o klimacie mamy perspektywę tego, jak będzie wyglądać Ziemia za 20–50 lat, tak samo rozmawiamy o internecie. Z tym że tutaj nie mamy już tak wiele czasu, bo wystarczy zaledwie kilka lat, żeby totalnie zmienić kształt sieci.

Nie mówię, że Amazon posiada technologię, by kontrolować umysły ludzi już dziś, i że jesteśmy codziennie poddawani praniu mózgu albo że system Alexa

steruje naszymi dziećmi. Tak nie jest, ale możemy zauważyć pewien trend, który zmierza do stworzenia systemu, który będzie decydował o tym, jak będziemy prowadzić nasze życie. Moje obawy dotyczą tego, co może wydarzyć się za dziesięć lat – dziś możemy tego jeszcze nie zauważać, ale to nie znaczy, że tego nie ma. Dlatego musimy utrudnić powstanie tego systemu, tak mocno jak tylko się da. ■